

Kartki z podróży - Puławy

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

KARTKI Z PODRÓŻY. PUŁAWY

Bolesław Prus

Abuś jako jedno z ogniw, które niegdyś łączyły Puławy z Warszawą. — Czym są Puławy i jak się do nich jedzie? — Droga od kolei do osady. — Myśliwcy warszawscy. — „Ulica przyszłości” i — kaplica Jędrzeja. — Tak zwane „Krakowskie Przedmieście”. — Inne ulice i budynki. — Charakterystyka Puław. — Kościółek i przymusowa bezbożność. — Jarmarczek. — *Znaczenie Żydów*.

Niegdyś rodowici puławiacy jeździli do Warszawy Abusiem, który posiadał wielką frachtową budę płótnem krytą i trzy konie, a między nimi przynajmniej dwa ślepe. Podobno, gdy go ktoś zapytał: dlaczego posługuje się tego rodzaju inwalidami? Abuś odpowiedział:

— Dlatego, że ślepy k u ń nie pozna c e g i e mu dają: cy owsu, cy pliwę?

— Zawsze to jednak bieda ze ślepym koniem! — ciągnął dalej natręt,

— Z przeproszeniem godności osoby pańskiej — przerwał zniecierpliwiony Abuś — w u n nie dla tęgie jest, żeby gazety c y t o ł, ino zęby brykie ciungnął!

Czy w rzeczy samej Abuś taki miał pogląd na posłannictwo koni i ich przymioty, nie wiem, bom rozmowy tej sam nie słyszał. W każdym razie, był to Żydek niski, krępy, z jowialną i uczciwą fizjognomią. Pasażerowie za podróż do Warszawy płacili mu od pięciu do ośmiu złotych, a już kto dał dwa ruble, otrzymywał honorowe siedzenie w środkowej części wozu, z prawem opierania się na kolanach tych, którzy siedzieli za nim i kopania tych, którzy tłoczyli się na niego z przodu.

Abuś był najpotulniejszy z furmanów, lecz posiadał wszystkie narowy swoich braci po biczu. Zdarzało się, że go wynajmowano całego z furą i bebeczami za pięć rubli. Wówczas obowiązywał się nie brać nikogo, wyjeżdżać wcześniej i nie stawać w karczmach żydowskich.

W takim składzie rzeczy interesant w wigilią wyjazdu posyłał zwykle po Abusia, aby go osobiście do punktualności zachęcić:

— No i cóż, Abusiu, jedziemy rano?

— Skoro świt, wielmożny panie! Przedy dniem.

— Pamiętajże, bo ja wstanę o szóstej.

— Co to o szóstej? Wielmożny pan kpi z Abusia?... Niech pan wstanie o piątej, a fura już będzie przed domem, bo przecie musimy rychło zajechać.

— Ale czy na pewno?

— Co to na pewno? ... Żebym tak zdechł i wielmożny pan zdrow b u ł z wielmożną panią i z dzieciarni...

Na drugi dzień pasażer wstaje o szóstej, w domu hałas, pieczenie kurcząt, pakowanie reszty węzełków. O ósmej wszyscy żegnają się z płaczem, a o dziesiątej... posyłają do Abusia.

— W ten m u m e n t zajeżdżam, ino kunie byli na pastwisku i bez to się spóźnił ten złodziej...

Kto był „tym złodziejem?” nie wiadomo. To pewna, że o jedynastej przybiega nowy posłaniec.

— Aj waj! bodaj jemu ręce i nogi połamało! — krzyczy Abuś. — Muszę wóz naładować, bo przecie z takim państwem byle jak nie pojedę.

— Więc może nasz pan zjeść w domu obiad?

— Co nie ma zjeść, ale niech się kwapi, bo ja już wyjeżdżam!...

O trzeciej posłaniec przekonywa się, że brykę wytoczono ze stajni. Podróżny żegna się po raz drugi i — wysyła o siódmej nową sztafetę, która na własne oczy widzi, że syn Abusia już przygalopował na jednym koniu do budy. Nareszcie około dziewiątej wieczorem słychać turkot, tłuczenie się hamulcowej belki o koła, szcęk łańcuchów i woń obrzydliwego tytoniu. Abuś przybył.

— Hultaju! — krzyczy gość — wszakże mieliśmy wyjechać z rana?

— To jeszcze wielmożnemu panu krzywda? — pyta krzykliwie zdziwiony Abuś, wsadzając biczysko za kołnierz w celu podrapania się dokładnego. — Po co my mamy do rana czekać, kiedy jak wyjedziemy teraz, to staniemy o całe dziesięć godzin wcześniej...

Na takie argumenta nie ma odpowiedzi. Pasażer siada, wóz rusza, lecz Abuś popędza konie piechotą w stronę swojego domu.

— Gdzie ty jedziesz?

— Tylko na mument!... Zapomniałem o w s u w ż ą c. — Zabieranie owsa wymaga przemiany koni, szwargotu, kłótni i gromadzenia się Żydków około bryki. O dziesiątej machina poczyna się chwiać ku Warszawie, lecz obciążona nowym pasażerem.

— A to co za jeden? — krzyczy gość. — Przecie ja miałem sam jechać?

— To mój pomocnik, wielmożny panie, ja go zawsze biorę dla doglądania, bo teraz kole Wiązowny są takie złodzieje, c o strach!

W tej chwili wóz staje.

— A to co?

— N a s i e L n i k się obsunął — odpowiada Abuś, lecz nie zsiada, Opatrzność bowiem zesłała mu pewnego Żydka z węzełkiem, który nic wprawdzie nie poprawił koniom, lecz natomiast sam zajął miejsce na przodzie.

— To mój szwagier — objaśnia Abuś. — Niech wielmożny pan pozwoli mu pojechać t y L k i e do Zyzyna. On ma tam żonę.

Ledwie gość zaakceptował przyjęcie nowego kolegi, wnet za bryką rozlega się wrzask niewieści. Abuś znowu staje, zsiada z wozu, kłóci się z napastniczką, a w końcu prosi najpokorniej o przyjęcie pasażerki.

— Wuna taka b i d n a, wielmożny panie!... w u n a ma wielką chorobę!...

I pakuje biedną chorą, a obok niej Żydka, który ją odwozi, i dziecko.

Podróżny w następstwie przekonawszy się z pociechą, że biedna Żydówka w towarzystwie jego ulega tylko chorobie wielkiego gadulstwa, odkrywa później ze zdumieniem, że Żyżyn, dotychczas leżący o dwie milki od Puław, przesunął się na Nalewki do Warszawy. Towarzysze bowiem jego aż tam dojechali szczęśliwie pomimo protestów i wymyślań, które Abuś przyjmował z taką zimną krwią, jakby był swoim własnym koniem ślepym i głuchym.

Abuś stawał tylko w żydowskich gospodach pomimo wyraźnej umowy. Cóż jednak miał robić, kiedy obok jednej z nich zepsuł się naszelnik, przy drugiej musiał smarować wóz, a do trzeciej — same konie zajechały, gdy się zdrzemnął? ...

— Niechże cię, mój Abusiu, pioruny spalą! — krzyczy gość — razem z twoimi oberżami. Ja tu z głodu umrę!

— Po co jaśnie pan ma umierać? Tu przecie jest wszystko...

— Cóż jest?

— Tyło co buł rosół z gęsi i sama gęsina ... Wczoraj byli ryby...

— Ale co jest teraz?

— Bez teraz trochę nie ma nic, ale żebym ja wiedział, że wielmożny pan zechce jeść, to bym kazał kurę ugotować. Oni tu wszystko mają, lepiej nawet niż w samej Warszawie!

Takim był Abuś i jego teorie podróżnicze. Do Warszawy jechał trzy doby, wypoczywając dniem z powodu upałów, a w nocy drzemiąc na swoim wysokim koźle.

O omnibusach i karetach pocztowych, które ze względu na szybkość niewiele były lepsze od Abusiowego chlewka, nie wspominam. Przy mnóstwie urzędowych grymasów posiadały one zbyt

mało miejsca i wygod, aby godziło się rzucić jakieś dobre słowo na świeżą ich mogiłę. Ktoś dobrze poinformowany mówił mi, że karetki lubelskie chodzą obecnie do Radomia i Kalisza, a radomskie i kaliskie wożą grzeszników do piekła. Od tej pory staram się unikać dróg radomskich i z podwojoną gorliwością pracuję nad zbawieniem duszy.

Obecnie (nim zaprowadzą jazdę balonami) nastąpiła dla Puław epoka kolei żelaznych, która na dzieje tej pięknej osady może wywrzeć wpływ nader zbawienny. Puławy dla kraju mają Instytut Gospodarstwa, a dla Warszawy są prześlicznym schronieniem w czasie lata. Podwójne to znaczenie miejscowości spotęgować może ułatwiona komunikacja i dlatego zamierzaliśmy poświęcić Puławom kilka listów, w których nie owijając rzeczy w bawełnę wykażemy ich dobre i złe strony w nadziei, że te ostatnie poprawi rozum i uczciwa chęć mieszkańców na własny i ogólny pożytek.

Puławy leżą na przecięciu się z Wisłą szosy lubelsko-radomskiej i od stacji drogi żelaznej Nadwiślańskiej odległe są o 3 do 4 wiorst. Podróż z Warszawy koleją trwa około sześciu godzin i kosztuje klasą trzecią półtora rubla, a drugą około trzech. Wytrwali na bezsenność a nie mający czasu do tracenia warszawiacy mogą przyjechać tu pociągiem nocnym, zabawić cały dzień, wrócić także nocą i niezawodnie, jeżeli pogoda dopisze, nie pożałują ani czasu, ani kosztów. Na stacji, za wyjątkiem soboty, jest zwykle pełno wózków, którymi przyjechać można za 2 do 4 złotych. Kto jednak nie ma bagaży i posiada „charakter w nogach”, śmiało może puścić się piechotą, byle na stacji zapytał o kierunek drogi i zamiast do Puław nie trafił do Końskowoli.

Siadającym w dorożkę czy wózek radzę na miejscu potar gować się o cenę, ponieważ furmani tutejsi umieją być bezwstydnymi i obdzierać „państwo warszawskie”.

Przypuśćmy jednak, że ktoś ułatwiwszy się ze wstępnych ceremoniami wybrał sobie jednokonkę o czerwonych lejcach (powożący chłopak zbrodniarz!) i już jedzie w stronę zachodzącego słońca. Szosa jest paradna, gęsto wysadzona smukłymi topolami włoskimi, rozłożystymi, nadwiślańskimi, a gdzieś jarzębiną. Na lewo podróżny taki mieć będzie faliste pole upstrzone żółtawo-szarawymi płatami ścierni, bladoróżową tatarką lub wysokimi zielonymi krzakami ziemniaków. W tej stronie stoi dość samotny budynek — folwark Instytutu.

Na prawo, o kilkadziesiąt do paruset kroków odległy od szosy, ciągnie się cudowny dębowo-sosnowy las, niby wąż z ciemnozielonym grzbietem i czarnym brzuchem, licznymi zakrętami pełzający w stronę Wisły. Ciekawy a niecierpliwy nie patrzysz jednak ani w prawo, ani w lewo, ale wprost przed siebie, szukając zapyłonym okiem na końcu prostej jak strzała szosy — owych sławnych i pięknych Puław. Ale przed sobą, oprócz dachów kilku zatopionych w zieloności domów, widzisz tylko kłęby ogromnych drzew, w których ostatecznie nurza się koniec topolowej kolumnady. Rzeczy takie często spotyka się na obrazkach, rzadko w naturze, nigdy w kataralnej Warszawie ani jej okolicach.

Aleja ta, jak już mówiłem, ciągnie się od wschodu na zachód na przestrzeni mili i łączy miścinę Końskowolę z Puławami. O parę wiorst od Puław przecina ją inna topolowa droga prowadząca od Mokradek do lasu, z południa na północ. Na drożynie tej pełno berberysu, terek, dzikich róż i — wróbli, ptaków szarych i psotnych, które cały dzień jedzą, a w przerwach między drugim i trzecim śniadaniem lub piątym i szóstym obiadem całą gromadą bawią się w kotka i myszkę z warszawskimi myśliwcami.

Myśliwcy ci wychodzą na połów straszliwie uzbrojeni: w perkusyjną dubeltówkę i siedmiostrzałowy rewolwer. Chcą zwykle zabić dzika, na którego benefis gotuje się już woda w domu we wszystkich samowarach i naftowych maszynkach. Ujrzawszy jednak stado wróbli namyślają się, co zrobić: czy wydobyć siedmiostrzałowy rewolwer z kieszeni, czy perkusyjną dubeltówkę z pokrowca, czy też wrócić po współnika, który już stara się o pięciostrzałowy rewolwer i dubeltówkę

kapiszonową? Namysł ten przeraża wróble, które wynoszą się na inny krzak, odległy od myśliwego na piętnaście kroków. Strzał w takich warunkach, choćby do słonia, staje się już wątpliwym, warszawski przeto Nemrod pakuje rewolwer do kieszeni, dubeltówkę w pokrowiec i w czasie antraktu zajmuje się instrumentowaniem nowej opery.

Na *gałazce* huśta się ptaszek posiadający własność kręcenia ogonem, a Nemrod śpiewa:

— Bum! bum! bum!...

— Proszę tatki, co to jest?

— To... kontrabas.

— Nie... ale ten ptaszek?...

— Czemużeś mi go wcześniej nie pokazał?... musi być coś dobrego!... Tra! la! la!

Słyszałem, że na skutek tych i tym podobnych eksperymentów, myśliwcom warszawskim ma być udzielone prawo polowania przez cały rok na wszelką zwierzynę za wyjątkiem dzikiej, która mogłaby im fuzje pozjadać.

Pierwsza ta aleja topolowa ze! swoimi krzakami i wróblami przecina wzgórek. Stanąwszy na nim i patrząc ku południowi gołym okiem lub przez teatralną lornetkę, zobaczysz kościółek włostowiecki, a za kopułą jego sygnaturki, na wysokich błękitno-zielonych pagórkach potężną, okrągłą basztę kazimierską, która ongi była strażnicą, czyli też latarnią dla flisaków podróżujących po Wiśle. Bliżej, bo o kilkanaście kroków na lewo, rozkładają się piaszczyste, jałowcem i młodą sosenką porośnięte wzgórza, z których za pomocą drewnianych rur sprowadza się wodę do pałacowej sadzawki.

Wszystkie te rzeczy zobaczyć można od razu, o kilkadziesiąt kroków od szosy, naturalnie — jeżeli furman pozwoli. W razie przeciwnym jedziemy dalej i znowu spotykamy alejkę topolową, na której nie ma nic osobliwego.

Tu przekonywasz się, że zieloność ze stacji wydająca się gajem jest tylko wielką aleją lipową. Cztery rzędy starych, imponujących drzew ciągną się od południa ku północy, łącząc główny dziedziniec pałacu z lasem. Spojrzawszy na lewo, widzisz drogę prostą, z lekka wklęsłą we środku i łagodnie podnoszącą się ku końcowi, na szczycie której majaczą jakieś mury. Jest to pałac. Dzięki biegowi bryczki miga się on tylko przed oczyma, spowity w drzewa jak twarz pięknej kobiety w woalkę. Krajobraz ten bezpiecznie można by przenieść na kurtynę.

I znowu na lewo aleja z dwu szeregów lip biegnących od szosy ku jednemu ze skrzydeł pałacu. Naprzeciw niej, tuż przy szosie stoją cztery lipy i pochylony krzyż zbudowany z górą przed ćwierć wiekiem przez nieboszczyka doktora Bretschnajdra, wielkiej uczciwości człowieka. Kiedyś dzieci z piastunkami chodziły pod te lipy, gdzie dziś wznoszą jeden z ładniejszych domków.

W ogóle terytorium po obu stronach szosy, zawarte między alejami i miastem na przestrzeni kilkuset sążni, ma znakomitą przyszłość. Blisko stąd i do Instytutu, i do targu, powietrze świeże, widoki ładne; zarówno więc studenci jak i goście z Warszawy chętnie by się tu placowali. Dziś już w tym miejscu buduje się kilka pięknych domów, drewnianych wprawdzie, lecz szykownych. Są to wille może w szwajcarskim, choć zresztą nie wiem w jakim stylu zbudowane i składają się z dwu części; domku parterowego, a przy nim jednopiętrowego. Mają one parę ścian wspólnych i tworzą ładną całość, byle tylko nie pomalowano im okien na kolor giło"tyny, jak się to praktykuje w niektórych puławskich willach.

Miejsca w tej stronie jest jeszcze dosyć, choć *ziemia* drożeje tak, że dziś plac pod dom kosztuje już kilkaset rubli przy szosie. Majętniejsi warszawiacy zrobiliby dobrze, zakupując place i pobudowując sobie domy na lato, które przez resztę roku mogliby zajmować studenci.

Ponieważ o biedakach mówi się zwykle na końcu, więc i ja zapomniałem o kapliczce Św. Jana, budynku wzniesionym przez indywidualność wcale niebogata i nader dziwaczną. Kapliczka owa stoi

— a raczej wali się — na prawo od szosy i stanowi jakby początek już opisanej części Puław, którą jeden z poetów nazwałby swoim obyczajem „ulicą przyszłości”. „Wyłamane drzwi, nad którymi unosi się święty zlewający obfite i uprzejme błogosławieństwa na podróżnych, stalowoniebieski kolor ścian i w ogóle zaniedbana powierzchowność świątynki, która wkrótce stać się może ruiną, zwraca na nią uwagę przejezdnych. . .

Kapliczkę tę wznosił niejaki Jędrzej, dziś już nieboszczyk, a niegdyś stróż w Instytucie Panien, w którym zamiatał korytarze. Był to człowiek niesłychanie brudny i ponury, wieczorami ziewał tak — jakby stado wołów ryczało, najczęściej sypiał na schodach, dzieci straszył i na psy rzucał wielkimi kijami. Jadał też, Boże odpuść! jak paskudnie, bo z drewnianej beczułki po szarym mydle, w którą zlewał wszystkie możliwe zupy, jarzyny i mięsa. Pieniądze zaś obracał na kapliczkę, która za jego życia jaśniała od barw, kwiatów i świateł. Co roku przybywała jej jakaś ozdoba, zgodna mniej więcej z estetyką Jędrzeja i miejscowych architektów, lecz zawsze nachwałę Bożą przeznaczona.

Ponieważ Jędrzej przed nikim się nie wywnętrzał i w ogóle mówił niewiele, nie znano więc historii jego życia. Dobrzy ludzie jednak skombinowawszy jego ekscentryczności z utrapieniami, jakie sobie zadawał, podejrzewali w nim wielkiego, lecz już pokutującego grzesznika. Ile było w tym prawdy? nie wiem. W każdym tylko razie niezwykle cierpienia mogły w naszych czasach wykuć z ubogiego prostaka średniowieczny typ półdzikiego anachorety, którego jedynym przyjacielem na świecie był wiecznie zapatrzony w krzyż i głuchy na wszelkie głosy doczesne posąg św. Jana.

Przeciętni puławiacy, którzy nic nie mają przeciw temu, aby ich samych bez kosztów robiono nieśmiertelnymi za życia, żadnej nie okazują dbałości o pamiątkę, jaką zostawił po sobie bezimienny i oryginalny rodak. Godziłoby się jednak choćby wspólnymi siłami zakonserwować kapliczkę, u której nadpsutych ścian wiesz się już legenda.

O kilkadziesiąt kroków za szwajcarskimi willami szosa skręca na lewo, biegnie spadzisto z północy na południe ku zarzuconej piaskiem Wiśle i przekształca się już w ulicę zwaną Krakowskim Przedmieściem. Na samym rogu na lewo mamy „Hotel Wiktoria” i restaurację z napisem: Restaurator, naprzeciw jadalnią „cioci Rosołowskiej”, a parę kroków dalej także zakład Dmowskiego. Wszystkie domki są drewniane i parterowe, tym starsze, im bliżej leżą środka miasta. Zamiast bruku szosa, latarnie naftowe na drewnianych słupach, parę cukierni i sklepów norymberskich utrzymywanych przez chrześcijan.

W tym miejscu szosę znowu przecina stara aleja lipowa zwana ulicą Lipową, przy której leżą domy dwu lekarzy tutejszych, bardzo przyzwoite, domki kilku najętniejszych mieszczan i murowany szpital. Tą drogą dostać się można do Instytutu, na Marynki, na Mokradki i wreszcie do Włosowic, gdzie jest kościół parafialny.

Krakowskie Przedmieście, długie na sto a może więcej sążni, jest główną ulicą Puław. Para innych przecina ją pod kątami prostymi. O kilkadziesiąt kroków za Lipową i równoległe do niej idzie ulica, której lewa połowa wiedzie do skrzydła pałacu, prawa ku Iwangrodowi. Przy iwangrodzkiej części mieszczą się sami Żydzi, jest kilka domów murowanych, nierównie więcej ruder, garść stodół i uliczek, ile kto chce: po cztery dokoła każdego domu. Brudy — prawdziwie warszawskie! tylko bez chodników i rynsztoków.

Znowu wracamy na Krakowskie Przedmieście, które od ulicy pałacowo-awangrodzkiej poczyna być brukowane. W tej części jest apteka i najwięcej domów murowanych, zajętych przez sklepiki żydowskie z norymberszczyzną i korzeniami. Po prawej stronie za szeregiem domów kryje się murowana bóżnica na pagórku przypominającym kupę śmieci.

Za to na lewo widok jest piękny. Dość wysokie wzgórze oddzielone od ulicy sztachetami, a na jego szczycie kościółek okrągły z przystankiem wspartym na potężnych piaskowcowych kolumnach.

Obok — dzwonnica, a poza tym wszystkim girlanda lip, ogrody i niedawno wzniesione domki, ciągnące się aż do pałacowego muru.

Na końcu Krakowskiego Przedmieścia, na prawo jest jeszcze długi, murowany budynek żółtego koloru: „Hotel Nadwiślański”. Tu po wszystkie czasy stawali rozmaici kuglarze i skoczki; szczęściem, skalane przez ich lekkomyślne tchnienia, mury uświęcono dziś obecnością poczty, której urzędnicy są tak troskliwi o swoją powagę, że najłżejszy szmer wydany ustami traktują jako gwizdanie i surowo za takową nieprzyzwoitość karzą pospolitych śmiertelników. Zresztą, nie dziwię się temu: *gdzież* bowiem można się zrobić wrażliwym na gwizdanie, jeżeli nie przy koniach?

Za „Hotelem Nadwiślańskim” tyle razy wymienione Przedmieście rozlewa się w plac piaszczysty. Tu znowu jest szereg domów wcale przyzwoitych i kilka budynków niegdyś pięknych, dziś szkaradnie zaniedbanych. Wprost odwach, na lewo — dawna ogromna austeria, a obecnie ruina pełna niechlujnych salonów, dalej spichlerz, prawdopodobnie pusty, choć mógłby pomieścić ziarno z „kilkudziesięciu majątków...”

Na prawo wzdłuż Wisły ciągnie się wieś Puławska po obu stronach ulicy dostatecznie błotnistej, gdzie spomiędzy chałupek jak Minerwa z głowy Jowisza wyskakuje całkiem nieszpetna murowana budowla, mieszcząca biura nowoaleksandryjskiego powiatu. Dalej — znowu wieś ze stodołami i ogródkami, a wreszcie drewniane spichlerze.

W ogóle ponad samą Wisłą stoi kilka gmachów obszernych, które dawniej były składami soli lub zboża przeznaczonego do spławu. Dziś prawdopodobnie wypoczywają one nadając osadzie mocno handlową powierzchowność.

Naprzeciw powiatu wpada, a raczej leniwie wtacza się do Wisły strumień, czyli staw zwany łachą, która oddziela ogrody pałacowe od łąk i gajów Kępy. Po drugiej zaś stronie suchotniczej matki wód naszych widać zadrzewione wyniosłości, a na nich wieś Górę z kościołem prezentującym się stąd bardzo malowniczo.

Oto mniej więcej dokładny szkic osady Puław, bo o pałacu i jego ogrodach pomówimy następnie. Stanowi ją naprawdę jedna ulica niby rzeka główna, do której wpada sześć uliczek niby rzeczek mniejszych, z obu stron po trzy na przestrzał. Na tych arteriach miejscowego ruchu wygrzewa się co dzień po kilku Żydków, spaceruje kilku strażników lub gość z Warszawy szpitalnym krokiem ciągnie do „Parku” na wypoczynek po spaniu, jedzeniu i tym podobnych wakacyjnych zajęciach. Kury, kaczki, figlarne psy, nie lękające się widoku ludzkiego świnie, czasem furka chłopska i parę razy na dzień stado krów wracających z pastwiska — oto i wszyscy aktorzy tutejszej sielanki.

Podczas wykładów w Instytucie osada ożywia się nieco dzięki obecności stu kilkudziesięciu studentów. Stała jednak populacja tutejsza wyraża się z domków swoich tylko w dwu wypadkach: kiedy jest msza w kościółku i kiedy jest jarmark.

Bo potrzeba wiedzieć, że osobliwości tutejsze streścić się dadzą w kilku zdaniach. Kąpiel, po której człowiek jest brudniejszy i bardziej spocony niż przedtem — spichrze bez ziarna — lasy, w których polować nie wolno — woda, w której nie można ryb łapać — piękna miejscowość, z której nie korzystają miejscowi — kolej, która się nie obejdzie bez koni — muzeum historyczne bez śladu pamiątek i — kościół bez księdza. Istotnie kilkutysięczna osada ta ma świątynią jedną z najładniejszych w kraju, lecz nie ma parafii. Nabożeństwo więc odprawia się o tyle, o ile proboszczowi lub wikaremu z Włostowic czas pozwoli przyjechać do Puław.

Uroczystość podobna zdarza się raz na dwa tygodnie, czasem raz na tydzień; toteż mieszkańców tutejszych odniamniej by można posądzić o lenistwo w służbie bożej aniżeli o fanatyzm.

Kościółek, jak już wiemy — okrągły, ma sklepienie dokładnie półkuliste. Wewnątrz, na wysokości piętra lub więcej, wznosi się chór, jak pierścień oparty na tęgich kolumnach.

Najznakomitsi wierni zasiadają na kilkunastu starożytnych fotelach z klęcznikami, ustawionych we dwa szeregi pomiędzy ołtarzem i drzwiami. Marniejsi tłoczą się na drewnianych, przyzwoicie odrobionych ławach pod ścianą, a już pospólstwo zupełne staje i klęka gdzie chce: na posadzce lub na chórze. Ołtarz jest tu jeden, organy też jedne, ale zepsute; grają więc na fisharmonii, którą kościołowi podarował jakiś student. Rezonans jest przewyborny, chociaż miejscowe siły wokalne wiele pozostawiają do życzenia. Obecnie brak ten przynajmniej chwilowo wynagrodził się: mają bowiem Puławy dwu kompozytorów, wyborną sopranistkę i muzyka-wykonawcę. Jednej niedzieli grano tu i śpiewano koncertowo, nie zrobiwszy jednak na tutejszych ludziach zbyt wielkiego wrażenia. Co mi to za śpiew, od którego szyby z okien nie lecą i co za muzyka — bez buczenia? ...

Odbył się tu niedawno comiesięczny jarmark czy jarmarczek, streszczający do pewnego stopnia miejscowe siły przemysłowe i handlowe. Widzieliśmy na nim z klasy przedmiotów metalowych kilka żelazek mosiężnych i kilkanaście naczyń blaszanych. Z innych artykułów: ogórki z Anilina, krupy i mąkę, wyroby faryniarskie i towary łokciowe (tasiemki) z Końskowoli, wyroby bednarskie z Kurowa, garncarskie z Baranowa, łyżki ze Zwolenia i sita z Biłgoraja. Był też kramarz kazimierski z obrazami, paciorkami, fujarkami, różańcami i tym podobnymi świętościami. Prawie wszyscy ci kupcy (za wyjątkiem tasiemkarza i łyżkarza), chrześcijanie i mieszczanie, mają wyroby arcyprywatne, w ilości niewielkiej. Największy kontyngens jarmarkowiczów stanowili włościanie ze zbożem, ziemniakami i rzepą. Kapusty nie ma tu jeszcze, a masła znalazło się kilka osełek, które w lot rozchwymano.

Wieśniacy na jarmark z byle czym chodzą gromadą. Czwooro prosiąt nie większych od zajęcy popędzali dwaj mężczyźni, widocznie ojciec i syn, mający razem przeszło sto lat.

Furkę rzepy i ziemniaków otaczała matka, dwie córki i chłopiec. Najmłodszy z rodziny pilnował wozu, starsza córka niosła kilkoro kurcząt, a matka — chusteczkę pietruszki.

Przy tej gromadzie miałem możność zaobserwować sposób, w jaki dokonywają się w małych miasteczkach „transakcje handlowe”. Już na zakręcie szosy opadł wędrowców tłum Żydówek. Kilka z nich rzuciło się do kurcząt, kilka do pietruszki, reszta do wozu.

— Co to macie, matko?... Pokażcie ino! Czegośta takie harde, przecie i moje pieniądze nie śmierdzą!...

— Bacta chłopok, zeby ci rzepy nie pokrodli! — woła matka na chłopca, który już skołowaciał.

W tej samej chwili z hożą właścicielką kurcząt interes był prawie ubity. Handlarka płaciła jej po 1- zł 5 gr za sztukę, lecz nie mogła jakoś pieniędzy doliczyć.

— Matulu! — woła kurczęciarka — Żydówko ni mają pianciu grosy i chcą, zeby im zburgować.

— Odbierz, głupio, kuroki!... Odstępujta, psiewiary, bo was tu!...

Tymczasem kupcowe bez gniewu, lecz i bez ceremonii odebrały jej węzełek i poczęły wydobywać pietruszkę.

— A bodaj was!...

— Cegie sze gniwota? ... Co to ... rozbój? ... Przecie my płacimy...

— Jo wom tu nie psedom, ino chce trzewiki obuć... A posły ha!...

Lecz ile razy wieśniaczka zakładała trzewik na bosą i czerwoną nogę, tyle razy pietruszka przechodziła do rąk handlerek. „Transakcje handlowe” były niesłychanie podobne do oganiania się przed muchami. Koń czy krowa gniewa się, pieni, skacze, a muchy tymczasem napadają z rozmaitych stron i robią swoje. -

W końcu rodzina pozbyła się natrętów. Ogłupiały chłopak zaciał konie, a jednocześnie z worka poczęła się wysypywać rzepa. Handlarki naumyślnie rozwiązały worek, aby antagonistom swoim przysporzyć kłopotu.

Wieśniak tutejszy, do szpiku kości uczciwy i wesoły, w handlu robi się niedowierzający, opryskliwy i zły jak osa, posądzając wszystkich o to, że go chcą okraść lub oszukać. Prócz opisanej sceny tego samego dnia widziałem handlarki, z których jedna kupowała, a dwie kradły ogórki. Poszkodowany spostrzegł *to* dość wcześnie, odebrał swoje i — nie okazywał wcale zdumienia z tego powodu. Widocznie rzeczy takie są w handlu dość zwykłe.

Mimo to handlarz małomiasteczkowy jest niezbędnym pośrednikiem między producentem i konsumentem. Nawet włościanie według ogólnej opinii gospodyń wolą sprzedawać im aniżeli „państwu”. Niewytłomaczone to na pozór zjawisko pochodzić zdaje się stąd, że niektóre piękne gosposie umieją tak dobrze targować się jak i handlarze, lecz zwymyślać ich nie można. Chłop zaś wówczas dopiero uważa się za pokrzywdzonego, jest „markotny”, gdy i opuści kilka groszy, i kupca nie zbeszta. Producenci Żydzi, jak na przykład sadownicy, bez ceremonii protegują handlarzy. Pewien sadownik sprzedał wiśnie po 40 groszy garniec Żydkom, lecz zażądał po 2 złote od chrześcijanki i wprost powiedział jej, że on „państwu” tylko po 2 złote odstąpi. Otóż na pociechę pokrzywdzonej dodać muszę, że tego rodzaju „protegowanie swoich” należy do zwyczajów handlowych na całym świecie, nazywa się „rabatem” i nie zawsze powinno być zaliczane do kategorii nadużyć.

Ściśle jednak rzeczy biorąc, bez owych handlarzy i handlarek trudno się obejść. Małe miasteczka w ogóle, a Puławy w szczególności najlepszym są tego dowodem. Z głodu byśmy tu pomarli na własnej kuchni, czekając, zanim by nam wieśniak przyniósł drobiu, nabiału, drzewa itd. Po rzeczy te chodzi się do Żydów, którzy drą, gdy mogą, lecz umieją się też obchodzić niesłychanie małym zyskiem, gdy potrzeba. Tego zdania są wszyscy konsumenci, podobnie słyszałem i od producentów.

— Dlaczego wy, matko, nie sprzedajecie kurcząt od razu katolikom? — zapytałem pewnej wieśniaczki.

— O! a gdzie ja znajdę katolika? Dobrze, że się pan jeden nadarzył, a gdyby nie to, oddałabym Żydówce, bo ona zawdy na mnie czeka na każdym rogu ...

— A nie moglibyście do domów wstępować? ...

— Gdzie zaś? ... Jedno, że człowiekowi wstyd, a drugie, żebym jeszcze zginęła w tych Puławskach, takie to w i e l g i e. Widać, że każdy człowiek musi gdzieś ginąć: warszawiacy w Paryżu, lubliniacy w Warszawie, puławiacy w Lublinie, rudniacy w Puławach, a już paryżanie, jeżeli gdzie, to by chyba w Rudzie zginęli.

Słówko o leczniczych własnościach klimatu i wyższości Puław nad innymi letnimi schronieniami. — Topograficzne cechy okolicy i ogrodu. — Jak powstała topola? — Nieludzkie historie w alei lipowej. — Wejście do pałacu, dziedzińce. — Meteorologia w Puławach. — Trzy części ogrodu. — Dzielnica zachodnia najmniejsza. — Angielskie schody i dęby. — Chińska altanka i kasztany. — Sposoby przeprowadzania się na łąkę. — Widok pałacu z niej. — Gra w piłkę, cerceau, ospę wietrzną itd. — O lokalach i obiadach.

Kto chce wiedzieć, w jaki sposób oddziaływa na człowieka klimat tutejszy, niech bierze miarę trybu pisania obecnych korespondencji. Jedną wysłało się na początku miesiąca, drugą w końcu, przerwę zaś między obiema wypełniło się — systematycznym próżnowaniem.

Ułomną jest natura ludzka! Dopóki orzesz — wszystko idzie doskonale i niby są siły pomimo cery bladej tudzież gwałtownego ubywania wagi ciała. Lecz spróbuj wypocząć, powiedz sobie, że przez tydzień, tylko jeden, jedyny tydzień nie weźmiesz pióra do ręki — już po robocie!... Siły gwałtownie opadają, czujesz senność, niedołęstwo. Wielkie plany zajęć na czas wakacji topnieją jak lód w gorącej kawie, doba zamiast 24 poczyna mieć tylko 6 godzin, godzina zamiast 60 tylko 30 minut... Nie wiadomo nawet, gdzie się czas podziewa! Jeszcześ nie zdążył otrząsnąć z obuwia pyłu warszawskiego, napęlić płuc świeżym powietrzem, obudzić w sobie apetytu, takiego zwykłego apetytu, dzięki któremu ludzie tyją, aliści już koniec lata. Z pól zebrano wszelkie zboża, nawet proso; śliwki węgierki ukazują się na targu, żółte liście na drzewach, a letkiewiczze, inaczej: osoby bawiące się w letnie mieszkania, poczynają wracać do roztrajkotanej Warszawy!

Aczkolwiek jesień w kraju naszym, jeżeli się uda, należy do najpiękniejszych pór roku, choć warszawiacy z wielkim dla serca i umysłu pożytkiem zwiedzać jeszcze mogą Puławy w ciągu września i października, niemniej jednak „kartki” niniejsze przeznaczam wyłącznie dla tych, którzy w roku przyszłym zastanawiać się będą nad pytaniem: dokąd wyjechać na lato? ... Otóż — jedźcie do Puław, kto chce, a dlaczego? powiem niżej. Tylko jeżeli obraz tutejszego ustronia wyda się wam zbyt bladym, nie podejrzewajcie o brak piękna samej okolicy, lecz nieszczęsnego autora, który pomimo dobrych chęci, nie wszystko, jak należy, opisać umiał.

Wiem ja, że i około Warszawy znajdują się śliczne mieszkania letnie, np. Mińsk, Sobolew albo Grodzisko. Piękności przecież każdej z tych okolic są zbyt jednostajne. W Grodzisku masz park kieszonkowy, pod Mińskiem za dużo wspomnień o bagnach, a pod Sobolewem i Otwockiem za dużo piasku. Tymczasem piaseczek i bagienko, choć dobre jako przyprawa, lecz używane na śniadanie, na obiad i na kolację po upływie kilku dni sprzykrzyć się mogą. Są one podobne nieco do kuracyjnych winogron, na widok których, po miesięcznym delektowaniu się nimi, człowiek doznaje ckliwości.

Rozmaitość jest jednym z najważniejszych warunków uciechy w tym życiu, no — a piasek przed sobą i za sobą, na prawo i na lewo, pod sobą i nad sobą, piasek w uszach, w oczach a nawet w ustach i kamaszach, przestaje być uciechą. Dlatego Mazowsze i Podlasie nigdy mnie zbyt do siebie nie pociągały, choć są ludzie, którzy przepadają za nimi.

W Ojcowie znowu jest natura cudowna: góry, skały, lasy, woda; słowem wszystko, czego pejzażysta zapragnąć może. Cóż, kiedy my, śmiertelni, jesteśmy pejzażystami tylko od wierzchu kapelusza do krawata. Grzbiet zaś wymaga siakich takich łóżek, a żołądek jedzenia i z tego powodu bajeczne widoki ojcowskie nieurozmaicone bifsztykiem i pokoikiem — niezmiernie łatwo przyprawiają warszawiaków o melancholię i nudy.

W Puławach zaś rozmaitości jest daleko więcej, prawie tyle, ile jej istota ludzka do szczęścia

potrzebuje. Natura tu cacana, sztuka poparła ją w miarępiasku wprawdzie dosyć, ale go ominąć można — mieszkania niezbyt tanie i obfite, lecz w ilości jak na dziś dostatecznej — jadło wcale niezłe, a wreszcie towarzystwo, jeżeli kto tak szczęśliwie jak ja trafił — nieocenione!

Szkielet okolicy stanowi powierzchnia falista, przypominająca morze w czasie lekkiego wiatru. (Ja wprawdzie morze znam tylko z wystawy sztuk pięknych, lecz ponieważ kilka osób z naszej kolonii w Puławach widziało je własnymi oczyma, wyobrażam więc sobie morze i fale tak łatwo, jakbym był co najmniej admirałem). Wzgórza puławskie nie są zbyt wysokie ani doliny głębokie: mają najwyżej po kilkanaście stóp, czasem parę cali. Wydymają się one i opadają tak gładko, że gdybyś, usiadł na jednym z nich, to przy byle jakim wietrze zsunąłbyś się na dół — bez kłopotu i strachu, jak dziecko na huśtawce, którą troskliwa bona pod okiem matki chybcze.

Wszystkie te fale niegdyś zapewne ożywione, dziś zakrzepłe, biegną ku Wiśle, nad brzegiem której kończą się nagłym spadkiem mającym około 40 stóp wysokości. Ten kształt gruntu niezmiernie przypomina warszawski Ogród Botaniczny i Wierzbno, których powierzchnia w stronę rzeki zwrócona jest spadzią. Nawet ogród puławski z tej właśnie racji jest nieco podobny do Botanicznego i Łazienkowskiego razem wziętych. Posiada bowiem część górną odpowiadającą Botanicznemu Ogrodowi i dolną odpowiadającą Łazienkom. Jest jednak od nich obszerniejszy, więcej urozmaicony i dzikszy; nie ma posągów, a na zdobiących go dziełach ludzkich czuć już wszechmocną dłoń zniszczenia, co mu nieopisanego dodaje uroku.

Ponieważ bardzo dbam o to, aby najmniej rozwinięty warszawiak przy pomocy moich objaśnień czuł się w Puławach jak w domu, zaczynam więc taniec od pieca, czyli opis od początku.

Przypuszczam, że idziesz pan od . stacji piechotą, zaopatrzony w lorynetkę. Znajdujesz się na szosie i nie czując nawet, wstępujesz pod wzgórze, którego szczyt przypada zaraz za trzecią wiorstą. Spoglądasz za siebie i widzisz: szlaban przy kolei, który zgodnie z duchem przepisów zamyka się w czasie biegu pociągów, dalej — ukryte między drzewami czerwone dachy Końskowoli, a znacznie bliżej, bo prawie tuż za uchem — Żydków furmanów, którzy cię na wyścigi zapraszają do swych „trzęsionek”.

Spoglądasz teraz przed siebie, ku Puławom. Szosa ślicznie spada na dół jak płowa wstążka, na końcu której szarzeją pierwsze budowle osady. Gdzie okiem rzucisz, zielono i zielono; na tle błękitu lipowe aleje rysują się jak obłoki, których niebo mogłoby pozazdrościć ziemi, gdyby nie miało porządniejszych.

Gościnne bryczki furmanów wyprzedziły cię już... Jedna, dwie ... sześć... dziesięć... z powodu odległości zdaje ci się, że stoją w miejscu, chociaż biegną całą siłą pary koni chudych, unoszących puste półkoszki, a w nich lekkie żołądki swoich właścicieli. Na prawo — chłopci tłuką rytmicznie, ogromnymi młotami kamienie szosowe, nucąc pieśni przypominające obławę na wilki — na lewo para włóścian poprawia mostek, wkopując obok niego słupki obficie pomazane dziegciem. Turkot bryczek jest już tak słaby, że nie zagłusza ćwirkania koników polnych witających cię na swój sposób.

Przychodzi chwila, że prócz bydła pasącego się na ściernisku, żywej duszy ludzkiej nie spotykasz na szosie. Przez dobre jednak szkła zobaczyć możesz śpiącego pod przydrożną topolą pastucha, a w alei lipowej młodą parę, która ciągnie zwolna do lasu, prawdopodobnie w celu znalezienia tam świeżego powietrza.

Szosa, jak powiedziano dawniej, wysadzona jest przeważnie topolami włoskimi. Wysmukłe to drzewo widziane z daleka ma formę pióra gęsiego i ukazało się na świecie z powodów bardzo oryginalnych.

Jeszcze za czasów Adama i Ewy Pan Bóg przeznaczając aniołom rozmaite zajęcia, jednemu z nich polecił zapisywać nazwiska: bankierów, którzy nigdy nie pozowali na filantropów, literatów,

k którzy się nigdy nie kłócili, młodych panien, które nigdy nie kochały się potajemnie, młodych studentów, którym nigdy okrucieństwo nadobnej płci snu nie psuło, reformatorów, którzy nigdy teorii swych nie stawiali ponad interesa ogółu i innych tym podobnych dziwolągów. Anioł, w zaraniu świata niewiele mając do roboty, dla zabicia czasu zasnął na swej księdze sznurowej, a pióro wetknął w ziemię. Umarł Adam i Ewa, Kain zabił Abła, potop zniszczył starą ludzkość, a deszcz siarczasty Sodomę i Gomorę. Ludzi różnych pici, wieków i zajęć przybywało i odchodziło setki i tysiące milionów, lecz anioł nie miał roboty. Tymczasem pióro jego okryło się liśćmi, wydało owoce, a z nimi miliardy podobnych mu i nie używane, po dziś dzień tkwi w ziemi jako topola włoska. Gdy topola zniknie ze świata, będzie to dowodem, iż urodził się człowiek wyjątkowy: najprędzej bankier, który zechce publicznie wyznać, że jak żyje, nikomu dobrze nie zrobił.

Dotarliśmy do miejsca, w którym szosę przecina główna aleja, najpiękniejsza w Puławach, uformowana z czterech szeregów lip. Skręcamy na lewo, do pałacu. Z dziesięciu obywateli pytałem: ile osada ich ma ludności i gdzieby o tym języka zasięgnąć można? Odsyłali mnie do wszystkich władz gminnych, powiatowych, sądowych i policyjnych, sami bowiem nic o tym przedmiocie nie wiedzą. No i ja gotów byłem niepokoić swymi pytaniami czcigodne magistratury, narażać je na kłopoty, a na siebie ściągać podejrzenia!... Tymczasem tu, przy alei lipowej, na drodze do pałacu stoi jak wół tablica, która opiewa, że osada Puławy ma 202 domów i 2,800 mieszkańców. Skądinąd wiadomo mi, że społeczeństwo to wiernych obu wyznań zjada rocznie około tysiąca sztuk bydła rogatego, nie licząc chleba, kaszy, ziemniaków i im podobnych suplementów.

Wszedłszy w aleję jesteś jakby w sali kolumnowej ciągnącej się przed tobą i za tobą na przestrzeni paruset sążni. Słupy czarne, sklepienia i posadzka zielona, spomiędzy liści przegląda niebo. Chcąc z kamienia wybudować coś podobnego człowiek wydałby miliony na czarne marmury, wyczerpałby kopalnie malachitu i lapisu lazuli i w rezultacie zrobiłby rzecz małą i kiepską.

W salonie tym kolumny są wprawdzie pochylone, niejednostajnie grube, niekiedy potrzaskane, posadzka powyginana tak, że babina idąca o kilkadziesiąt kroków wygląda — jakby ją do połowy w ziemię wkopano. Ale za to słupy, ściany, sklepienia i posadzki żyją, gadają, ruszają się lub dają przytułek setkom tysięcy istot samodzielnych, jeżeli nie krzykliwych, to przynajmniej ruchliwych. Co chwila gałąź zadrży i spośród gęstych liści wyjrzą czarne błyszczące ślepki jakiejś ptaszyny, która uważa za stosowne zarekomendować ci się w urywanym i pieszczotliwym języku. Dziobaty mieszkaniec lip jest trochę wścibski, trochę gaduła i całą jego ruchliwą istotę od głowy do ogona wypełnia ciekawość. Rad by zawrzeć z tobą bliższą znajomość, wypytać o nowiny i słuchając ich opowiedzieć ci o własnych przygodach. Jest tak szczery, że nie ukrywałby ani drobnych kradzieży, jakie popełnia na cudzych polach i ogrodach, ani niefortunnych zalotów, ani przykrych snów, jakie go zeszłej nocy trapiły. Ale ty, prawe dziecko rodu ludzkiego, widząc, że skrzydlaty plotkarz wiesza się nad tobą nie wyżej jak na łokieć, chwytasz za kij lub kamień, chcąc kosztem jego istnienia wypróbować swoją zręczność. Szczęściem jesteś niezgrabny jak słoń; w jedną stronę leci twój pocisk, w drugą przerażony ptak, głośnymi lamentami ostrzegając kuzynów i przyjaciół, aby w żadne poufałości nie wdawali się ze sztywnym i grubijańskim przybłądą, który bije ptaki, choć sam ani latać, ani usiąść porządnie na gałęzi nie potrafi i albo milczy posepnie, albo wydaje z płaskiej twarzy głosy podobne do ryku niechlujnego bydłęcia.

Nie na samych jednak ptakach ogranicza się ludność alei. Uważaj no pilnie na te górki, o które potykasz się co chwilę. Zasiany nimi cały trawnik. Jedne są więcej zbite i jakby zwiędłe, na innych znać świeżą ziemię, a ta, do której dochodzisz — rusza się nawet i ze szczytu jej pryska piasek i grudki gliny. Jest to nowopostawiony dom indywidualności zwanej kretem. Osoba ta posiada cienki ryj, kusy ogonek i oczki tak małe jak nakłucia szpilką, wygląda zaś, jakby ją w czarny aksamitny

worek zaszyto.

Kret, starszy widać i doświadczeńszy od ptaków, tak sobie zbrzydził towarzystwo ludzkie, iż woli żywcem zakopywać się do grobu, aniżeli na własnej skórze dźwigać dowody ciekawości naszej. Jest to w części pesymista. Gardzi słońcem i pięknymi widokami ziemskimi, miłuje samotność, jak gdyby czytał Senekę, który mówi, że czuł się gorszym, ile razy przebywał w towarzystwie ludzkim — i ryje długie, rozmaicie powyginane piwnice, za pomocą tęgich, kusych łap przednich, opatrzonych silnymi pazurami i podobnych do ręki spracowanego człowieka. Dziwny ten zwierz, postrach kobiet i przedmiot uwielbienia dla dzieci, zaczepiony przez istotę ludzką wrzeszczy głosem zdradzającym obrzydzenie i nudy, szpilkowatymi zębami kąsa rękę, która go chce pogłaskać i — korzystając z chwilowej emocji nowego znajomego, pluje mu piaskiem w oczy i zakopuje się w ziemię. Z obyczajów kreta wnieść by można, że w świecie glist, pędraków, podjadków i korzeni przepędza się czas równie dobrze jak w Puławach lub w Warszawie. Zależy to od przyzwyczajenia.

Zresztą pełno tu innych tworów bożych, wobec których dwunożny surdutowiec z wielką afektacją zadziera głowę uważając się za coś lepszego. W fałdach kory lipowej drzemie poważna i flegmatyczna ćma ze łbem sowy i skrzydłami podobnymi do krzyżackiego płaszcza. Trochę niżej od niej, na stronie drzewa oświetlonej, wygrzewają się na słońcu stada kowali, którzy na plecach jak średniowieczni pokutnicy noszą wizerunki trupich głów, czerwonego i czarnego koloru. Tu i ówdzie, najczęściej obok martwej gąsienicy lub zeschłej poczwarki, dumają pluskwy drzewne chodzące zwykle pojedynczo lub parami. Istoty te pachnące jak stu aptekarzy wykąpanych w asafetydzie mają ostre i długie dzioby, na piersiach pancerze przypominające skorupę raka morskiego, na brzuchu cętkowaną skórę pantery, na grzbiecie płaty szyldkretu tudzież nogi bocianie, szczeciniaste, orlimi zakończone szponami. Wstrętny i drapieżny owad, który niezbyt dawno ukąsił jedną ze znajomych mi dam, tak że aż dreszczów dostała, prawdopodobnie dla pokrycia swych niecznych instynktów płaszczykiem pobożności nosi na plecach coś przypominającego kaptur kapucyński. Na domiar niedoli filut ów chętnie przesiaduje na malinach, zakażając miły ich smak swoim ohydny technieniem.

Wśród tej rzeczypospolitej ptasiej, owadziej i roślinnej, której członkowie żyją spokojnie i zjadają się bez cytowania jakichkolwiek bądź wyższych idei na obronę swoich postępów, człowiek odegrywa, zaiste! rolę szatana. Krwiożerczy i ciekawy, chytry i obojętny na cierpienia innych, płoszy ptaki, chwytą motyle, aby je nadziać na szpilkę, łamie gałązki lipy, szturga kijem nory zniechęconych do świata kretów, niepokoi senne ćmy lub rozprasza Bogu ducha winne — stada ascetycznych kowali.

Toteż kiedym po raz pierwszy wchodził w lipową aleję, ja, nieszczęsny reprezentant obmierzonego naturze gatunku, liście poczęły drzeć, struchlałe ptaki kryć się po najciemniejszych gęstwinach, a drobne muszki jęczeć mi nad uchem jak pogrzebowe dzwony zwiastujące śmierć i zagładę wszystkiemu, co się rusza. Przed moim wejściem tu słońce świeciło jasno, rzucając na trawnik złote snopy, których liście drzew uchwycić nie zdążyły, ale gdym dotknął przeklętą stopą tej ziemi, znikły z niej jeziora światłości i całą posadzkę alei powlókł jednostajny, popielaty cień niby krepa żałoby.

Dopiero gdy przekonano się, że nie jest łapacz motyli ani wybieracz pliszek, stare, doświadczone lipy zaszumiały w takt uspokajający, zaświergotały ptaki, na tle cieniu zaszarzały półcienie, trysnęły potoki światła i cała aleja na chwilę skurczona ze strachu przeciągnęła się jak dobry człowiek, którego wschód słońca ze snu budzi. W kwadrans później patrzono już na mnie bez gniewu, a dziś chodzę tu po wszystkich klombach, alejach i łąkach jak nieszkodliwa nikomu mrówka lub mszyca, na którą słońce zlewa część swych błogosławieństw i której kwiaty same podają słodką rosę litując się nad jej pragnieniem.

Aleja od szosy do pałacu ma kilkaset kroków długości. Obok niej na prawo widzisz ogrodzone płaskimi sztachetami półko doświadczone, nieco dalej nie ogrodzoną i dobrze zaniedbaną szkółkę młodych drzew. Za sztachetami znowu, na lewo znajduje się ogród owocowy pełen truskawek, malin, wiśni, jabłek, gruszek i śliwek, że nie wspomnę o morelach i brzoskwiniach, które tu były kiedyś. Sad ten dzierżawią Żydzi, owoców więc dostać można, jakkolwiek nie po najniższej cenie.

Tuż przed instytucyjnymi budowlami aleja przecina się z ulicą Lipową, wiodącą z miasta na Marynki i do Włostowic. Przeszedłszy ją jesteśmy już na terytorium pałacowym.

Zaraz na pierwszym kroku napotyka się oryginalność, mianowicie fosę murowaną, zabytek prawdopodobnie z tych czasów, kiedy na miejscu dzisiejszej akademii gospodarstwa wznosił się obronny zamek Sieniawskich. Fosa jest niedługa, lecz parę łokci głęboka; na końcach jej stoją murowane domki, przez środek zaś idzie mostek. Dwie filigranowe, żelazne kolumny wysokie na dwunastoletniego chłopca są szczątkami ozdobnych żelaznych wrót, które istniały jeszcze za pamięci Instytutu. Wychowania Panien.

Od ulicy funkcją słupów wjazdowych pełnią dwie armaty, paszczami wkopane w ziemię.

Za fosą ciągnie się spory kwadratowy dziedziniec gęsto zasadzony lipami, pod którymi bawią się dzieci, i zasiany trawą, która wypasa zbytkujące kozy miejscowego pachciarza. Dobrze te zwierzęta noszą kuse ogonki do góry, witają gości beczeniem, a niektóre z nich grzecznym panienkom z naszej kolonii dają buzi.

Następuje rząd sztachet okrągłych i wysokich jak lance ułańskie i brama, której skrzydła wiszą na dwu murowanych słupach. Słupy te — słuszne, kwadratowe i żółte — zamiast daszków mają na szczytach śliczne, wyrobione z gipsu grupy dzieci podających sobie ręce do wstania lub zakładających hełm na głowę. Rzeźby owe, białe niegdyś jak śnieg, dziś poszarzały dzięki deszczom.

Weszliśmy na dziedziniec główny. Pałac jest zbudowany w formie podkowy, a lepiej — owego berlińskiego stołu, przy którym odbyło się konsylium chirurgiczne nad obolałą Turcją. Front pałacu zwrócony prawie ku północy ma dwa piętra — skrzydła i oficyny po jednym. Przez całą długość korpusu środkowego, dwupiętrowego, idzie podsień wsparta na ośmiu kolumnach, a nad nią balkon z poręczą w piaskowcu wykutą. Całość budowli ładna, pokryta żelaznym, na czerwono malowanym dachem, nad którym mnóstwo piorunochronów sterczy; szkoda tylko, że ściany gmachu od dawna zresztą barwią się na żółto, co im daje pozór czysto szpitalny, w części kryminalny.

Prócz kilku lip, topoli włoskich, trawników, kęp bzu i pięknych okazów wierzby płaczącej, której żółte gałązki i jasnozielone listki zdają się całować ziemię, najpiękniejszą ozdobę dziedzińca stanowi prostokątna murowana sadzawka tej mniej więcej obszerności co kopiąca się obecnie w Ogrodzie Saskim w Warszawie. Woda do niej przy pływa ze wzgórz o parę wiorst od pałacu odległych i wycieka przez miedziane w łuki zgięte rury, zwane „węzami”. Sadzawka za pomocą stosownych urządzeń zaopatrywała w wodę kilka lokali pałacu: łazienkę, pralnię i kuchnię. Co pewną liczbę lat sadzawka oczyszcza się, a wówczas całą masę wody spuszczają do Wisły przez murowane kanały. Wiedzieć bowiem trzeba, że pałac tutejszy ma swoją autonomiczną, bardzo porządną kanalizację, a jak dziś to i oświetlenie gazowe. Niedawno nawet, dzięki rozbudzeniu się filozoficznej samodzielności stróża pałacego w grubie gazowej fabryki, miała tu miejsce niewielka, taka sobie powiatowa eksplozja gazu, która na szczęście żadnych ważniejszych szkód nie sprawiła. Poczciwy piecopał, dopóki był machiną i robił, co mu kazano, z roli swojej wywiązywał się cudownie i produkował gaz paradny. Nagle ocknął się w nim umysł badający i wolna wola, począł tedy własną teorią stosować do palenia w piecu i kręcenia kurków i o mało gmachu w powietrze nie wysadził!

Prócz dzieł natury i sztuki dziedziniec ten upiększają jeszcze przedmioty naukowej doniosłości.

Widzimy tu naprzód wielokątną drewnianą budę, podobną do studni klasztornej albo szafasu z wodą sodową. Lecz sursum corda! jest to bowiem obserwatorium meteorologiczne, ozdobione na szczycie chorągiewką wietrzną, a od strony pałacu liczbami oznaczającymi stan barometru i termometru tudzież zegarem.

Drugim niezmiernie ważnym aparatem naukowym psującym symetrię podwórza jest pewne, średniej wielkości naczynie. Ma ono kształt siedzenia z wgłębieniem i służy do mierzenia ilości spadłego deszczu lub piasku i kamyków wsypanych tam przez dzieci. Trzecią, najdonioślejszą machiną jest słupek kamienny, z wyrytym na wierzchu kierunkiem południka, jeżeli mnie domysły nie mylą.

Kiedym tu wszedł po raz pierwszy i w rezerwoarach miejscowej astronomiczno-meteorologicznej wiedzy chciał światła zaczerpnąć, słup z południkiem nie nauczył mnie ani o długości, ani o szerokości jeograficznej Puław, w psychometrze znalazłem trochę żwirku, z cyfr termo- i barometrycznych nie mogłem nic wywnioskować o pogodzie lub deszczu, ani w końcu uregulować zegarka, ponieważ miejscowy czasomierz obchodził wakacje. Sądzę, że jedynie naukowe usługi oddaje tu chorągiewka na dachu, dzięki której zwierchność akademii rolniczej poznać może, skąd wiatr wieje i jaką ma siłę?

Ogród instytucki, brylant Puław, ma około wiorsty długości mniej więcej ze wschodu na zachód i około dwustu sążni szerokości z północy na południe. Wszystkie uliczki jego rozciągają się chyba przeszło na milę, jeżeli nie dwie.

Ogród ten podzielić można na trzy części. Górna rozciąga się na płaskowzgórzu puławskim, gdzie stoją: pałac, domek gotycki, Sybilla, oranżeria i pałacyk gościnny. Część dolna leży o 3G do 40 stóp poniżej płaskowzgórza i posiada jako godne uwagi szczegóły: ogród botaniczny, chińską altankę, łacnę — rodzaj długiej sadzawki, która ciągnie się od wschodu na zachód prawie, tworząc południową granicę ogrodu i — pałac marynkowski. Część górna z dolną łączy się za pośrednictwem, spadku, przykrego w jednych miejscach, łagodnego w innych, na którym leżą: tunel, inaczej angielskimi schodami zwany, pochyłe drogi i sztuczne grotty.

Zbiorowisko to roślinne otacza pałac z trzech stron: od wschodu, południa i zachodu. Ostatni płat jest najmniejszy i najmniej ciekawy i dlatego należałoby oglądać go najpierwej.

Wyminąwszy sadzawkę i patrząc na główny korpus gmachu dostrzec można w prawej oficynie wielką, zieloną kwadratową bramę. Przechodzimy ją i znajdujemy się w owej najmniejszej części ogrodu.

Jest ona względnie dość nową. Kępy drzew, kępy śliczne i gęste nie opanowały jeszcze przestrzeni i z tego powodu istnieje tu niejaka równowaga między trawnikami i klombami.

Najbardziej rzucają się w oczy akacje wydające w epoce kwitnienia przyjemnie mdły zapach; jest też dosyć bżów, topoli nadwiślańskich, kilka piramidalnych świerków i trochę klonów. Najstarszym i największym drzewem zdaje się być dzika gruszka formująca obok pałacu altanę, w której nawet ławki urządzone.

Idąc najszerszą drogą od gmachu wprost przed siebie, spotykamy na lewo mały pałacyk gościnny, ozdobiony dwoma ładnymi posągami naturalnej wielkości. Mieszkali tu kiedyś monarchowie zwiedzający Puławy.

Stąd już widać mur okalający tę część ogrodu. Pod nim na prawo od głównej drogi stała kształtna altanka z pni brzozowych korą okrytych, z której dziś śladu nawet nie ma. Przed nią, na trawniku, za czasów Instytutu Panien mieściły się huśtawki. Ludzie zresztą niezbyt starzy widywali tu w dni pogodne szeregi uczennic w zielonych lub wiśniowych sukienkach, białych fartuszkach i pelerynkach, dźwigające na głowie szarytkowskie kapelusze: Dziś w tych miejscach spotkać można tylko szare

wróble, praprawnuki owych, które niegdyś świergotem przedrzeźniały radosne okrzyki półzakonnice, kształcących się na damy wielkiego świata.

Warszawski Ogród Botaniczny bez porównania piękniejszy jest od tej dzielnicy, którą goście warszawscy odwiedzają rzadko i na krótko, zawracając czym prędzej ku angielskim schodom. Jest to w połowie tunel, w połowie wąwozik, obmurowany cegłą, pomalowany na kolor krwi wołowej i wybrukowany. Gdy idziesz tędy, kroki wydają dźwięk metaliczny, który kilka razy powtarza króciutkie, urywane echo.

Wyjścia z angielskich schodów pilnują niewysokie słupy z popielatego marmuru tudzież ławka piaskowcowa, na której znać głębokie ślady ostrzenia kozików. Tu możemy odpocząć.

O parę kroków przed nami na pagórku ładnie wygiętym stoją, niby witające dawnych magnatów sługi, dwa potężne dęby, najdawniejsze i najtrwalsze pamiątki po książętach Czartoryskich.

Drzewo to nie od razu rzuca się w oczy. Szybciej od niego rośnie i bez porównania wyżej konary wypuszcza — sokora, zgrabniejszą jest topola wioska, foremniejszą — trójkątna jodła, miłszą — okrągła lipa. Aby ocenić dąb należycie, trzeba go widzieć w wieku dojrzałym, rozpatrzeć szczegóły, zetknąć się z nim w różnych wypadkach.

Dąb nie jest wyciągniętym olbrzymem, ale krępy siłaczem. Pierwsze konary opuszcza prawie do ziemi, nie przerasta dobrze wyrosniętej lipy, lecz pień jego może mieć kilkanaście łokci w obwodzie. Gałęzi takie mnóstwo, że same tworzą gaj czy dach, pod którym tłum ludzi znaleźć może osłonę. Grube, pogięte jak węże konary, mówią ci, że gdyby kiedyś rośliny otrzymały ruch samodzielny, on ruszałby się najzważniej pomimo całego ogromu. A taka w nich siła, że na lada patyku ucześcić się możesz i huścić bezpiecznie. Ale wartość dębu występuje na jaw dopiero w czasie burzy.

Kiedy sosny się gną, lipy trzeszczą, łyse sokory bez ceremonii walą ci gałęzie na kark — kiedy strwożony zapominasz o pięknościach lasu i biadasz na zdradzieckich jego mieszkańców, wówczas sam tylko dąb bezpieczne ofiaruje ci schronienie. Jego potężny, niewzruszony pień zasłania od wichru, stalowe konary pasują się z nim, liście odbijają strugi deszczu. Ponad świstem i sykiem krzaków, jękiem, skrzypieniem i kołataniem drzew góruje głos jego majestatyczny i huczący jak stłumione echo piorunów. Widząc to, pojmujesz, dlaczego dąb nazwano królem lasów i zębataymi jego liśćmi wieńczono głowy bohaterów.

Ławka stoi pod lewą ścianą angielskich schodów; na prawej przed dziesięcioma laty jeszcze znajdowała się wielka piaskowcowa tablica z tym czterowierszem:

O wy, dęby, szelestnym powiewem odzowne,
Młodniejące starością, siwym mchem szanowne,
Sadził was własną ręką dla swojego syna
Nestor nasz, późne plemię rodu Gedymina.

Mowa tu o jednym z książąt Czartoryskich, prawdopodobnie ojcu albo dziadzie Adama.

Poniżej dębów leży sztuczna skała, wzniesiona już przez Instytut Gospodarstwa, a przeznaczona do pielęgnowania roślin między kamieniami żyjących. Na prawo od niej aż do muru granicznego ciągnie się ogród botaniczny, kwiatowy i cieplarnia. Przez całe lato zagony rzadkich roślin okrywano sieciami, które w dzieciach naszej kolonii obudziły podejrzenie, że ogrodnik tutejszy jest bardzo skąpy i w taki sposób kwiaty od zrywania zabezpiecza!

Wprost angielskich schodów już blisko łachy widnieje sześciokątny, murowany budynek — chińska altanka. Ma ona kształt pagody, dach z zadartymi krawędziami jak kapelusz mandaryna, na szczycie szpic a na nim rozpięty parasol. Budowla ta, raczej dziwaczna niż ładna, posiada dwa

wielkie okna, wysokie drzwi starannie zamknięte i służy obecnie do przechowywania ... kilku przyrządów rybackich! Już to w Puławach jest dużo miejsca, tak dużo — że ludzie nie wiedzą, co z nim robić. Tymczasem zaś władza akademii rolniczej troska się o uplacowanie zawiązków muzeum krajowego, które przecież bezpiecznie mogłoby, zastąpić wężerze i różne inne pułapki na ryby.

Cząstka ogrodu przylegająca do frontu chińskiej altanki jest dzielnicą kasztanów, najstarszych, najpiękniejszych i najliczniejszych w tym miejscu. Pień jednego z nich wprost drzwi pagody służy za podstawę stołu, przy którym kilkanaście osób wygodnie pomieścić można. Przed laty kasztan ten formował altanę, a wielkie konary jego kruszące się pod brzemieniem wieku podtrzymywano za pomocą ram i klamer. Z tej zapewne racji ścięto go, choć starowina miał jeszcze tyle energii życiowej, że dziś korzenie jego nowe puszczają pędy.

Parę ław znajdujących się tutaj chętnie zapełniali warszawiacy, w części przez pamięć na połatane blachą kasztany Saskiego Ogrodu, częścią dlatego, że chińska altanka była punktem zbornym dla osób udających się na „łąkę”, kędy grano w piłkę i cerceau. Tu także przysłuchując się szelestowi palcowatych liści kasztanów pewien krytyk przez miesiąc dumał nad „siłami i środkami naszej sceny”.

Łacha szeroka w całej długości na kilkadziesiąt kroków i głęboka na jakie pięterko, w tym miejscu zwęża się w rynsztoczek, do którego baby chodzą płukać bieliznę. W tym też miejscu o brzegu spadzistym, gęsto wierzbami obrosłym, kolonia warszawska przeprowiała się na piłkę. Początkowo przechodzono wodę po deszczułkach wąskich jak dłoń, w pośrodku kołkiem spojonych.

Na przyrząd ten przedstawiający nader wątpliwe gwarancje damy żadną miarą wstępować nie chciały i dopiero gdy powiedziano im, że przy przeprowie tego rodzaju doświadczą się oryginalnych wrażeń, najśmielsza weszła. Z brzegu zjechało się ślicznie jak saniami, ale na środku kładki odważna dama spostrzegła, że przejście jest niewygodne.

— Niech się pani oprze na moim ręku z zupełną ufnością! — mówił rycerski przewodnik.

Dama oparła się z zupełną ufnością i... runęła w wodę, tak że ze strachu aż drugi koniec kładki podskoczył.

— Dziwny wypadek! — mruknął przewodnik. — Ja się nawet nie zamaczałem.

Po takim eksperymencie należało wymyśleć coś trwalszego. Jakoż całe towarzystwo, nie wyjmując kobiet, starców i dzieci, poczęło znosić suche gałązki i rzucać je na strugę. Uformował się stos, którego jamy i nierówności zasłonięte zielonymi w itkami. Zgodnie z przepisami budowniczo wie przeszedli pierwsi, młodzież przeprowadziła damy, ich koszycki, chusteczki i parasolki i tym sposobem zainauguowano most prawie tak bezpieczny jak Nowy Zjazd przed restauracją.

Łąka formuje olbrzymi czworokąt zamknięty łąką, chmielnikiem, gajem i aleją wierzbową. Gładka jest jak posadzka, zielona jak szmaragd. Gdzie spojrzysz — pięknie, ale najpiękniej wygląda stąd pałac. Wyobraźcie sobie łąkę osadzoną tatarakiem i wikliną, zasypaną okrągłymi liśćmi i żółtymi kwiatami lilii wodnych. Za łąką trawnik przecięty dwoma ścieżkami, a dalej zielony, czysty, kilkadziesiąt stóp wysoki wzgórek. Po obu stronach jego literalnie bałwanią się tłumy drzew, a na szczycie wznosi się korpus pałacu wyłożony szarawym piaskowcem. Front ten bez drzwi i dwupiętrowy, ozdobiony wielkimi oknami, ma po bokach dwie wieże czworokątne, a na środku sześciokątną, wsuniętą w głąb gmachu tak, że tylko trzy jej ściany wybiegają naprzód. Wygląda to, jakby średniowieczny zamek tonął i rozpływał się w nowożytnym pałacu.

Ale zebrani nie przyszli tu delektować się krajobrazem. Już pod krzakami rozestano szale, na których zasiadają damy poważne i otwarto koszyki, z których czerpią siły do dalszych trudów dzieci najwątłejsze. Reszta tłumy rozbija się na dwie grupy, z których panie i kawalerowie kultywują c e r c e a u, mężowie zaś dojrżeli grę w piłkę. Zabawa ożywia się bez względu na to, że pan X. podając

kółko pannie Y. trafia nim w pana Z., a zmęczony jedzeniem Władzio odrzucając piłkę ojcu sam się przewraca. Nagle, jak bomby na oblegane miasto, spadają na rozbawiony tłum okrzyki:

— Gdzie Mania?...

— Gdzie Wandzia?...

Ojcowie, matki i pełna elegancji młodzież po całej łące szukają Mani i Wandzi, jakby panienki te były co najmniej konikami polnymi. W końcu wysłani w różne strony gońcy, donoszą, że Wandzia korzystając z ogólnego zamętu chciała wleźć na drzewo; Mania zaś, zamyśliwszy się, została na drugiej - stronie łąchy.

Najpoważniejszy jednak niepokój w sercach rodziców budzi Staś prowadzący życie rozpasane i pełne przygód, między którymi nieporozumienia z władzą ojcowską tworzą niemałą rubrykę. Szczęściem fenomenalny ten chłopczyk nie daje się szukać jak szpilka, o obecności bowiem jego i pomyślnym stanie zdrowia świadczy krzyk dwu dziewczynek, które w tej chwili przewrócił. Na domiar złego strapiona matka ze smutkiem spostrzega, że Staś ukrył się wprawdzie w trawę, ale nie z powodu wyrzutów sumienia, lecz dlatego aby schowany przed okiem starszych mógł jeść szczaw!...

Znalazłszy Manię, zdjęwszy z drzewa Wandzię, pogodziwszy Bolka z Ludkiem i upomniawszy Stasia, który między zjedzeniem szczawiu i doskonałą skruchą za grzechy dawniejsze popełnił kilka nowych występków, towarzystwo z podwójną energią oddaje się rozrywce. Panowie nawet na pamiątkę uśmierzenia Stasiowego buntu proponują urozmaicić grę w piłkę za pomocą biegania. Jest to kulminacyjny punkt tej męskiej zabawy, każdy bowiem, kto rzuci piłkę, przebiega na miejsce sąsiada i tym sposobem legitymuje się z posiadania obu par kończyn w należyтым porządku. Lecz o dziwo! pan X., który biega bez zarzutu, a nawet skacze i dopuszcza się innych bohaterskich wysiłków, obchodzi po kilkakroć całe koło, a pomimo to piłki dostać nie może; skutkiem dziwnej kombinacji rzucania ze zmianą miejsca uwięzła ona jak klątwa między panami Y. i Z., którzy znowu chcąc się pozbyć licha pracują tak, że aż pot z nich cieknie, jakby przechodzili c r i s i s w tyfusie.

Słońce zaszło, na łąkę rosa spadła, trzeba więc wracać do domu. Czynność ta spełnia się bez żadnej szczególnej przygody, za wyjątkiem chyba tej, że Władzio szukając laski zgubił czapkę.

W połowie sierpnia kłęska po kłęsce zaczęła dotykać kolonią naszą. Między dziećmi ukazała się ospa wietrzna, więc „zadzumieni” na jakiś czas wykluczeni zostali z grona „czystych”. Witano się z nimi przez elewację, okazywano im współczucie z daleka; oni zaś, biedaki, nie śmiejąc mieszać się już do wspólnych zabaw, obchodzili tylko dokoła wesoły orszak piłkarzy jak lwy stado gazeli i nad gorzką dolą swoją melancholijnie wzruszali ramionami.

Potem przybór wody spłukał most, potem zaczęto się rozjeżdżać i w taki sposób opustoszał ten najzieleńszy z zielonych trawników, który przez wzgląd na jego piękność można by nazwać „łąką warszawianek”.

W piłkę i cerceau grano tylko po południu, przed południem zaś każdy, jak umiał, przygotowywał się do zjedzenia obiadu z apetytem. Niektórzy spacerowali, inni około chińskiej altanki chwyтали nowe melodie lub nowe okresy na tle szumu kasztanów, kwakania żabek drzewnych i łoskotu kijanki uderzającej w płukaną bieliznę. Kwestii nie ulega, że natura w Puławach myśli i wyobraźni przypina nowe skrzydła, rezultat jednak prac duchowych wykonanych w tym miejscu zdaje się być taki, że po upływie miesiąca krytyk wyglądał jak spuchnięty, jeden z kompozytorów nauczył się grać w piłkę, a drugi tak polubił gaje i ptaszki, że na ołtarzu sztuki obok nut i fortepianu postawił myśliwskie buty.

Droga na wzgórze pod korpus pałacu. — Placyk Tankreda. — Aleja główna. — Drzewa pamiątkowe. — Miasto i przyroda, klomby i turyści. — Sybilla. — Aleja pogięta. — Domek gotycki. — Zabawy gości. — Mostek nad głęboką drogą. — Uliczka do wodozbioru. — Spadek. — Pochyłe drogi. — Głosy natury. — Groty. — Domek pustelnika, mur nad łączą. — Ogród zdziczały. — Jaką ma duszę drzewo i co będzie z ogrodem? — Kamienny most, Marynki. — Lacha i pływanie po niej.

Od chińskiej altanki goście zwiedzający ogród puszcza ją się zwykle drogą dolną wzdłuż lachy. My zrobimy inaczej: powrócimy do angielskich schodów i wejdziemy na górę łagodnie pochyłoną ścieżką, która biegnie na prawo. Poprzedza nas grupa osób nieco zalatujących miastem. Państwo ci przyjechali wczoraj o szóstej wieczorem i mają śmiały zamiar w ciągu dwudziestu czterech godzin zbadać gruntownie Puławy, Kazimierz, Janowiec i wszystko, co w nich jest godnego uwagi.

Orszak prowadzi ciocia okazująca wiele czułości dwom związanym ze sobą pieskom. Za nią podąża eteryczna siostrzenica, która od piętnastu lat zdaje się wahać między zamążpójściem i krótką sukienką, a wreszcie wielbiciel panienki, któremu bujna łysina i katar kiszek nakazują już pomyśleć o ustaleniu losu.

— Ach! jakie śliczne dęby! — woła młoda osoba.

— Przecudowne! — odpowiada konkurent.

— A jakie grube...

— Nadzwyczajnie!...

— Chciałabym tu leżeć, gdy umrę ... Konkurent robi minę odpowiednią do chwili.

— Mimi! Bibi... — odzywa się ciocia. — A co za figlarne psy! One nigdy nie chodzą drogą prostą, tylko zawsze wybiegają na najtrudniejsze przejścia!

Istotnie, drożyna idzie ponad wzgórzkiem mającym około dziesięciu stóp wysokości i tak płaskim, że mógłby nań wjechać karawan pierwszej klasy bez zakłopotania nieboszczyka. Ponieważ jednak ciocia i jej pieskom przejście to wydaje się bardzo trudne, młoda osoba więc uważa za niezbędne obdarzyć nieograniczonym zaufaniem łysego wielbiciela swych pełnoletnich wdzięków.

— Czy pan uwierzy, że mi się w głowie kręci? — szepcze panna z tkliwym wejrzeniem, czepiając się dosyć kołkowatej ręki dandysa.

Z jej strony był to dziewiczy fortel, który jednak mógł mieć bardzo smutne następstwa. Kataralny bowiem posiadacz jej serca sam dostał prawdziwego zawrotu głowy i tym jedynie krzepił swoją odwagę, że Opatrzność dała mu prawe ramię właśnie od strony spadku, nad którym z konieczności musiała iść nadobna jego towarzysząca.

W tej chwili od frontu ukazuje się jeden z miejscowych oficjalistów, który zobaczywszy pieski, bez ceremonii wbiegające pod niebezpieczny wzgórek, mówi:

— Państwo czytali, co po trawnikach chodzić nie wolno? ... A państwo wszystko tak i chodzą.

— Ależ to pieski, panie! — woła strwożona ciocia. — Bibi! Mimi! ... Mój Boże! ja zawsze miałam przecucie, że one mi kłopotu narobią.

— Mnie wszystko jedno, kto chodzi, a w tym rzecz, co chodzić nie wolno! — tłumaczy legalny oficjalista.

Szczęściem, pieski wbiegły już na ścieżkę, ukazując towarzystwu figlarne oczy i długie czerwone języki. Potem wszyscy przepadają między klombami.

Drożyna prowadzi pod tę właśnie część pałacu, którą widzieliśmy z łączki. Zielone wzgórze ujęte z obu stron w ściany piętrzących się drzew wymyka się spod naszych stóp i z kilkunastołokciowej

wysokości jak szmaragdowy wodospad pędzi ku łasze. Na chwilę niknie pod jej ciemnobłękitnym zwierciadłem i wypływa z drugiej strony już jako łąka zamknięta aleją wierzbową.

Między wzgórzem i łąką, gdzie dziś na trawniku jak świeży omlet bez konfitur leży okrągła kępka żółtych kwiatów, stała niegdyś grupa: Tankred poznający zabitą przez siebie Kloryndę — z tym dwuwierszem:

Giniesz, piękna Kloryndo, od miłosnej dłoni,
A cny Tankred nad własnym zwycięstwem łzy roni!

Wzgórze, drzewa, woda i łąka, a między nimi zaklęty w rzeźbę promień geniuszu Tassa!... nie jestże to ładna całość? Oglądasz każdy szczegół krajobrazu, a nie poprzestając na własnych oczach otwierasz jeszcze lunetę, jakby to optyczne narzędzie nawet przeszłość zbliżyć i uwidocznic mogło.

Około placu Tankreda ktoś sterczy. Wpatrujesz się lepiej ... Turysta, który ciebie znowu ściga z wyżyn zachwyty za pomocą' podwójnej lornety. Niebawem znika on i po kilku chwilach staje przy tobie na wzgórzu znowu z lornetą przy oczach.

Napatrzywszy się mówi:

— A co, panie, może niepiękne?

Mówi to tak, jak gdyby sam był twórcą krajobrazu.

— To, panie, rzecz!... to, panie, jest na co spojrzeć!... O, ja się znam na tym!...

— Malarz? ... nie malarz!... — myślisz sobie, a w końcu pytasz:

— Pan dobrodziej podróżuje?

— Nie, panie, ja jestem tapicer.

I kłania się prawdopodobnie Europie jak Kolumb, kiedy Amerykę odkrył.

Jakkolwiek tapicerów także Bóg stworzył, chowasz jednak lunetę do kieszeni i uchodzisz z tych miejsc lękając się, aby we wspomnieniach nie skojarzyły się z ideą materacy. Droga biegnie początkowo wprost, później rozwidla się. Wybieramy lewą jej odnogę i tuż pod ścianą pałacu wchodzimy do najbardziej ucywilizowanej alei.

Podobną ona jest do głównego traktu w naszym Saskim Ogrodzie z tą różnicą, że zamiast chorowitych kasztanów posiada zdrowe i dorodne lipy. Znajduje się tu kilka ławek szerniałych od deszczu, a jednak licznie obsiadanych.

Jeżeli kiedyś znęca się do Puław warszawiacy, niezawodnie w tej alei mieć będziemy codzienną wystawę płodów krajowych, budkę z wodą sodową, kiosk z gazetami, filią cukierni p. Janowskiego z kawą po 40 groszy i kurz nad drzewami.

Dziś jest tu dosyć cicho i chędogo. Trawniki po obu stronach, za nimi klomby, a na prawo kilka czubatych jodeł, które, skądkolwiek spojrzeć na nie, wyglądają tak, jakby otwierały do uścisku swoje kudłate ramiona.

Właśnie na prawo, obok jodeł, stoją nasi znajomi: ciocia z pieskami i siostrzenica z konkurentem. Wszyscy trzymają szkła przy oczach, a ciocia mówi:

— Właśnie to oto drzewo ... Zdaje mi się, że to ... sadziła nieboszczka Klocia. Pamiętasz?...

— Coś... jak przez mgłę... — odpowiada dziewica obłana barwą jutrzeńki.

— Jak to przez mgłę? ... Miałaś przecie wtedy lat ośrnnaście?

— Cioteczko! chodźmy już raz do Sybilli — przerywa zakłopotana piękność, nie patrząc nawet na złowrogie drzewa mające przynajmniej ze dwadzieścia lat wieku!

18 i 20 wedle zwykłej arytmetyki formują 38. Wypadłoby stąd, że dziewica tyle wiosen pamięta, choć nigdy temu nie uwierzy jej wielbiciel, według którego 18 i 20 równają się 22. Taką jest

matematyka zakochanych!

Historia tych nieszczęsnych drzew, z których każde stanowi metrykę, jest bardzo zajmująca. W Instytucie Wychowania Panien był zwyczaj, że uczennica kończąca zakład z cyfrą (najwyższa nagroda), własną ręką, pod oknami pałacu, na prawo od alei lipowej zasadzała drzewko, na którym zawieszano tabliczkę z jej nazwiskiem. Dziś z młodych latorośli porobiły się już drzewa, z dziewczątek — żony i matki. Zdarzało się też, że niektóre sadzonki poschły, niektóre dziewczątka w kwiecie wieku pomarły — z pozostałych zaś drzew zdjęto z czasem nazwiska ich piastunek i zawieszano botaniczne recepty.

. Jest południe, dzień gorący, ogarnia nas znużenie... siadamy na ławce.

Przywykły do miasta człowiek z trudnością wchodzi w zażyłość z naturą. Tam znał wszystko: powybijane chodniki i zasłaniające niebo domy ciężkie o barwach wyblakłych, czerwone nosy dorożkarzy i łoskot ich powozów, pył, który mu życie wyjada i rozgorączkowane tłumy pędzące korytami ulic jak mętna rzeka w czasie przyboru. Tu zaś wszystko nowe tak dalece, że przez długi czas nie umie zdać sobie sprawy z kształtów, niepokoi się ciszą, na odgłos szmeru chwyta ręką za kieszeń. Zamiast brukowców widzi trawniki, zamiast gmachów — klomby, zamiast ludzi, których życie miejskie wyrzuca rano z łóżek, w dzień poniewiera po ulicach, a w nocy ze snu budzi — spotyka roje niefrasobliwych ptaków i balet chudych koników polnych. Oddycha też swobodniej, nie potrzebując z tłumem suchotników walczyć o kroplę powietrza.

W całej masie ziemi, nie tylko w duchu ludzkim istnieje pociąg do otaczającej nas nieskończoności. W dzieciństwie świata ku słońcu i gwiazdom dźwigały się łańcuchy gór; dziś w epoce starości, w tym samym kierunku wznoszą się lasy i klomby. Oto i ten był kiedyś równiną, na którą uprzejmy wiatr, ptastwo i ręka ludzka rzuciły nasiona drzew. W roku następnym tchnienie ziemi wyparło ku niebu pierwsze gałązki i odtąd cal po calu wznosi się ciżba ich podobna dziś do wzgórze.

Trudno opisać, ile fantazji tkwi w budowie dźwigniętej ciężką pracą kilkudziesięciu drzew i krzaków. Jakie tam dziwne szczyty, lubieżnie zaokrąglone spadki, w których nagle ukazuje się snop światła tysiącem tonów odbijający się w każdym załamku i krzywiźnie. Klomb jest czymś środkującym między pasmem gór i obłokiem, jak obłok środkuje między rzeczywistością i marzeniem. Z dala patrząc na kępę drzew, widzisz zielen zbitą, formy ściśle określone, jakby wykute w kamieniu. Zbliżasz się o kilka kroków i otóż nowa skała rozplynęła się w coś na kształt muślinu, formy poprzednie znikły, a miejsce ich zajęły widoki nowe. I tak coraz dalej i dalej jak w kalejdoskopie albo śnie gorączkowym, kiedy gaśnie dziesięć obrazów w tym czasie, gdy na próżno usiłujesz zapamiętać jeden.

Człowiek z drzewami stanowi doskonałą harmonię. One go żywią zwykle bez ujmy dla siebie, a co ważniejsze: pomagają oddychać. Podczas gdy cały świat zwierzęcy co chwilę pochłania masy tlenu wyrzucając z siebie truciznę — kwas węglany, rośliny pochłaniają kwas węglany i rozkładają go, aby zwrócić tlen atmosferze. Dlatego tak nas przytłacza miasto pełne kwasu węglanego i tak dobrze jest w lesie, gdzie wszyscy jego mieszkańcy wyścigają się w służeniu nam, a nikt nas nie wyzyskuje.

Tłum wrażeń zewnętrznych, spadających na nas w mieście, mąci duszę i robi ją podobną do głębin rozkołysanej przez burzę. Zamykasz się, zatykasz uszy, wszystko na nic! na dnie zostaje odmęt. Każdy fakt (a ileż ich jest!) zamiast „podrażniać ośrodki nerwowe”, jak mówi fizjologia, rani tylko mózg, który aby zabiżnić się, innego otoczenia i dłuższego wymaga spoczynku. W końcu, gorycz napełnia cię po źrenice. Widzisz świat w kanwach czarnych, powietrze dusi cię i wysusza, hałas torturuje. Przyjaciele obojętnieją, w twarzach obcych upatrujesz zdradę, a serca nikczemne olbrzymieją ci w oczach tak, że zdaje ci się, iż podłość wyciekająca z nich, wkrótce napełni

wszystkie rynsztoki i ulice miasta.

O, jakże miło uciekłeś z podobnych zaduchów ocknąć się pod tym klombem, gdzie nic nie przypomina dni wczorajszych. Duch ucisza się, fale jego opadają i rozlewają się w jedno wielkie, spokojne zwierciadło, w którym przegląda się niebo, drzewa i ten oto motyl kołyszący się na białych skrzydłach...

Cóż, kiedy i tutaj dolecieć cię może pytanie:

— Franiu! czy już zjadłeś śliwki?

Na końcu alei, za dwiema starymi lipami, widać kratę z żelaznych włóczy i szerokie piaskowcowe schody, a na szczycie ich małą okrągłą wieżę otoczoną wieńcem tęgich kamiennych słupów, na których wspiera się dach półkulisty. Jest to Sybilla.

Niegdyś była ona świątynią historycznych pamiątek. Tu leżały berła i korony królów, klejnoty królowych, buławy wodzów, zbroje rycerstwa. Dziś nie ma nic.

Podróżni nie obeznani z historią Puław co najwyżej zachwycają się piękną i dziwną formą Sybilli, nazywając ją niekiedy gotyckim domkiem, z którym nie ma nic wspólnego. Gdy kratą otwartą, wejść można na schody Sybilli i okrążyć ją dokoła po ganeczku, między wieżą i kolumnami zawartym. Z ganku tego dopiero ocenia się prawdziwą wysokość gmachu, który dźwignięto z przepaści na trzydzieści kilka stóp głębokiej. Do podnóża jego tuli się kilka ogromnych głązów narzutowych, całość otaczają wielkie i gęste drzewa, pomiędzy gałęzmi błyszczy jasna powierzchnia łąchy.

Jeszcze przed dziesięcioma laty nade drzwiami Sybilli istniał napis PRZESZŁOŚĆ — PRZYSZŁOŚCI, z którego i śladu nie zostało. Dziwnie sprawiedliwa logika faktów! boć przeszłość nie zostawia przyszłości pustek, z których nawet pajak ucieka.

Pod salą górną znajduje się dolna, gdzie złożono resztki gruzów, które niegdyś domek gotycki zdobiły. Drzwi w niej wysokie, żelazne, u dołu nadłamane przez ciekawych; trochę mroku wpada przez wąziutkie okienka; prostokątne słupy, wewnątrz stojące, mają pozór pomników, echo stapań jękliwie rozlega się w atmosferze wilgotnej, grobowej. Wchodzi się tu tylko przypadkiem, wychodzi z głębokim smutkiem.

W nocy, widziany z dołu, gmach ten wygląda jak olbrzymia korona. Niebieskawy blask księżyca ledwie przeciska się między czarnymi konarami drzew i nie znajdując okna, które by go przyjęło, ucieka odepchnięty przez kamienną ścianę wieży, połamany przez ogromne cienie kolumn, które zdają się mówić: tu nie wejdiesz!...

Choć już wrzesień, między krzakami iskrzą się świętojańskie robaczki niby echo gwiazd rozrzuconych dokoła tajemniczej budowli, której sylwetka na ćwierci nieba czernieje. Na drzewach liście obwisły, marzą ptaki schowawszy głowy pod skrzydła, wiatr zatrzymał się gdzieś między obłokami i tylko śpiąca ziemia owiewa nas ciepłym, ledwie dającym się wyczuć oddechem. Jest to chwila posępna, w której duchy mają zwyczaj gromadzić się około miejsc, gdzie były przedmioty używane przez nich za życia ... Uciekasz stąd lękając się usłyszeć westchnień umarłych albo między kolumnami ujrzeć na ganku lśniąca broń sztyldwacha, który pilnuje pustek.

Na prawo od Sybilli, obok cienkiej, *żelaznej* poręczy stoi kilka ław piaskowcowych, na lewo ciągnie się inna aleja niby pasaż uformowany z lip, którym kunszt ogrodniczy powyginał wierzchołki. Cienia tu tyle co w piwnicy, a gości sporo, niektórzy bowiem lubują się tym zakątkiem.

Rodzicom, którzy z wielką sztuką wychowują dzieci i w ogóle wszystkim, którzy radzi by naturę ludzką urabiać wedle swego widzenia rzeczy, nagiąć do swoich ideałów czy urojeń, radzę, aby uważniej rozpatrzyli się w tej alei. Drzewa jej prawda że powyginały się jak im kazano, ale jakież są nędzne! Kiedy każda inna lipa rosnąca swobodnie tyje jak szafarka i ugina się pod brzemieniem liści

i kwiatów, te biedaki mają pnie cienkie, konarów niewiele, liści tyle co włosów na łysej głowie i pełno chorobliwych narośli. Są to uosobienia . rozmaitych blednie, skrufułów, angielskich chorób i innych przypadłości trapiących wygorsetowany ród ludzki. A jak się robaki prędko mnożą, jak łatwo próchnieje takie biedactwo!...

Właśnie obok tego szpitala roślin, na lewo, stoi gotycki domek rzucający się w oczy przede wszystkim czerwoną barwą. Budynek to niewielki, lecz z każdej strony inakszy i ślicznie wygląda. Z dwu stron otacza go podsień przykryta dachem wspartym na kolumnach tworzących ostrołuki, z trzeciej balkon na sześciu słupach prostych. Okna i drzwi prawie wszystkie w stylu gotyckim.

Mam właśnie przed oczyma książkę pt. „Poczet pamiątek zachowanych w domu gotyckim”, która świadczy, że jeszcze w roku 1828 pałacyk ten stanowił muzeum historyczne, ogólnieludzkie. Pamiątki dzieliły się na dwie kategorie: jedne wmurowane były w zewnętrzne ściany budynku, drugie znajdowały się w komnatach. Szczątki znakomitych gmachów, płaskorzeźby, urny, pomniki grobowe, kule z rozmaitych placów bitew, kamienie ze sławnych miejscowości przytwierdzano do ścian zewnętrznych jak muszle do ozdobnej szkatułki Portrety zaś, rękopisma i listy tudzież inne pamiątki po ludziach znakomitych, zbroje, wyroby dawniejszej sztuki i przemysłu, narzędzia ludów dzikich i tym podobne osobliwsze lub kosztowniejsze szczegóły umieszczano w pokojach. Rzeczywiście, kto by obszedł oryginalny ten domek i dowiadywał się bliższych rzeczy o wspomnianych osobach lub miejscach, niewątpliwie lepiej nauczyłby się historii aniżeli z kursów gimnazjalnych. Tu była część drzewa posadzonego przez Szekspira — a kto ten Szekspir? ... czym on handlował? ... Ówdzie kamyk z więzienia Tassa — a czym się trudził Tasso i za co był więziony? ... Tam chleb i płótno z Pompei — cóż znowu za Pompeja? ... Gdzie indziej ułamek z grobu Łokietka — a co to za ptak ten Łokietek? ... Proszę pamiętać, że było z górą 1.500 numerów podobnych osobliwości, jeżeli nie więcej, i proszę zapytać, o ilu się to rzeczach przy okazji dowiadywało!

Prawie przez pół wieku domek gotycki wewnątrz stał pustkami, ale za to od dziesięciu lat stracił nawet zewnętrzne ozdoby.

Wydarto je, pogruchotano i wyrzucono jak śmiecie: ławę wezuwiuszową, starorzymskie dzbany, cegły z Bastylii, kawałki skały Tarpejskiej, nagrobek Adama Kochanowskiego, kule spod Wiednia, Raszyna et cetera.

Dwie aleje, to jest jedna prowadząca do Sybilli i druga pogięta, są najruchliwsze i najludniejsze w ogrodzie. Tu dziewczynki (zupełnie jak u nas) biegają za obręczami lub skaczą przez sznurki. Tu na kamiennych albo drewnianych ławach gromadził się zwykle bukiet dam otoczony płotkiem mężczyzn. Tu młode panny i przyfastrygowani do nich kawalerowie puszczały się niekiedy (pod okiem starszych) na pełną wdzięku grę w cerceau, przy czym płeć męska uwielbiała często dość problematyczną zręczność żeńskiej, żeńska tolerowała niezgrabność męskiej, wszyscy zaś okazywali sobie bardzo dużo niezbędnej pobłażliwości. Tu wreszcie samotnicy lub samotnice, pozbawione towarzystwa wielbicieli swych słodkich przymiotów, wystawiwszy grzbiet na dobroczynne wpływy piękności natury tonęli w bibulastym świecie romansów.

Osoby poważniejsze bawiły się rozmową o sztuce, literaturze i innych ładnych rzeczach, za pomocą których ludzkość tłumi w sobie wrodzony popęd do ziewania. Ze zgrozą dostrzegłem, że na tych wyżynach duchowych najłatwiej męczyli się i dostawali zawrotu głowy mężczyźni. Z początku rozsypani między damami, po półgodzinnych zachwytach zbijali się stopniowo w jedno kółko, które nieznacznie odsuwało się od ławek ku środkowi alei. Jaki taki rzucał ukośne i tęskne spojrzenie na jednego z panów, który w męskim towarzystwie jaśniał dowcipem, w tej chwili zaś był smutny i zgnębiony. W końcu dystans między obu płciami zrobił się tak wielki, że damy poczynęły już mówić o ospie wietrznej, bólu gardła i innych niedyspozycjach dziecinnego wieku, mężczyźni zaś ocierali

czoła z potu wzniosłości i znikali na skwencie alei.

Następuje chwila uroczystej ciszy, wszystkie oczy zwracają się na pana X., który zabiera głos.

— Pamiętam — mówi — wsiadłem raz do omnibusu na Krakowskim Przedmieściu. Na dworze było już ciemno. Patrzę, w rogu pierwszego przedziału siedzi jakaś facetka... Władziu! ... idź naprzód!...

Władzio jest to chłopczyk, któremu według litery i ducha praw nie wolno jeszcze ani czynem, ani duchem wkraczać w dziedzinę atrybucji osób pełnoletnich. Odchodzi więc bokiem, uderzając się ręką w czapkę i zakreślając łuk, który mógłby świadczyć o tym, że Władziowi już cięży małoletność. W gruncie jednak rzeczy miny jego nie tyle zdradzają popęd do wyemancypowania się, ile raczej kłopot: co zrobi ze sobą, gdy opuści grupę, której pilnował dotychczas?

Do dzieci iść nie chce, w cerceau grać nie lubi, do dam nic go nie ciągnie, do samotności czuje wstręt... W takich pograżony myślach tkwi na miejscu, dopóki go kto nie zawoła i nie posadzi na ławce.

Przez ten czas Wandzia z Ludkiem próbowali bezskutecznie wejść na szczyt Sybilli. Staś trzy razy zleciał z górki; Dzidzia zjadłszy ósmy podwieczorek *kazała wziąć* się na ręce, a Marylka wszystkim obecnym dała buzi bez ściśle oznaczonego powodu.

Na końcu alei z wywichniętymi członkami widać gmach biały, ozdobiony posągami jakiegoś młodzieńca w negliżu klasycznym. Budynek ten to oranżeria, do której dostać się można tylko przez... zamkniętą bramę, po murowanym łukowym mostku przeskakującym wąwozik zwany Głęboką Drogą. Ponieważ wrota szczelnie są zawarte, płeć nadobna więc koniecznie chce zwiedzić oranżerię. Prastare dzieje zakazanego owocu!

Pragnąc ukoić niecierpliwość dam, jeden z młodych ludzi opowiada wzruszającą historią, jakby z ballady Szyllera wystrzyżoną. Kiedyś (ja nie wiem kiedy!) przez mostek ten (na półtora piętra nad bruk wzniesiony) przechodził jakiś hrabia w towarzystwie cudnej hrabianki. O czym mówili? któż zgadnie, dość że na środku mostu (punkt najwyższy) piękna hrabianka upuszcza chusteczkę do nosa nad Głęboką Drogę...

(Chwila milczenia, młody bowiem człowiek zna efekta antraktów) .

— I cóż?... i cóż? — pytają damy.

— Hrabia skoczył za chustką! — konkluduje młody człowiek kładąc (jako rzetelny demokrat) akcent goryczy na wyrazie: „hrabia”.

Śliczne towarzyski nasze spod ciemnych rzęs obrzucają wzrokiem stojących obok mężczyzn. Najmłodszy mierzą spojrzeniem wysokość mostu, dorośli cofają się w tył, prawdopodobnie dlatego, aby dać miejsce do rozmachu temu, który by za wyrzuconą chusteczką chciał skoczyć w wąwóz.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis! Piękna to rzecz zaprawdę! skoczyć za chusteczką z piętrowej wysokości (z ilu by to pięter obowiązany był skoczyć człowiek, gdyby mu na przykład tuzin obrusów rzucono?...) piękna to rzecz, lecz i... niezdrowa! Szczęściem znajomość anatomii chroni nas od podobnych nadużyć. Skoczysz, rękę albo nogę złamiesz, a może ci jeszcze co w krzyżu pęknie? Miły interes, dla połysku czarnych lub niebieskich oczu dostać się do szpitala, ulegać nastawianiu członków, smarowaniu i w końcu — wózkiem do śmierci jeździć na koszt przytułku dla osób dotkniętych paraliżem!

Ach! niezbyt dawno jeszcze jakiś inny był świat. Ludzie młodzi nie umieli anatomii, za jeden uśmiech gotowi byli skakać z pieca na łeb i w ogóle posiadali jakieś twardsze kości. Za to my mamy rozwagę. Panie żałują puszczać chustek na bruk, ażeby się nie powalały, a młodzież zna cenę swego karku i nie narazi go nawet dla sztuki zyrardowskiego płótna. Chociaż — dajcie pokój! widziałem ja i takich, którzy potrafiliby skoczyć za chustką, byle, nie każdą i — w potrzebie tej — rozbić się na

maślanke.

Od tego punktu radzę skrócić na lewo i posuwać się wzdłuż muru. O kilkanaście kroków za mostkiem stoi wspiana niegdyś brama wjazdowa, o murowanych słupach, rzeźbionych kapitelach. Dziś między słupami jej szarzeją wiecznie zamknięte wrota, droga trawą i krzaczkami zarasta, a z walącego się kapitelu wyskakuje jakieś kilkoletnie drzewko niby posłaniec ogrodu, który wygląda, czy znowu kiedy nie zajadą goście w te strony...

Jest to już dzika część parku. Drzew tak pełno, że trudno uchwycić indywidualność każdego. Tu klony walczą o miejsce z lipami, brzoza ze świerkiem, siwa sokora z krzakami bzu lub wilczym lykiem. Aż ciemno, taki natłok, aż gdzieś w kącie ptak narzeka, że zgubił drogę do gniazda.

Około wodozbioru, który jest zwykłym, białym i dość posepnym budynkiem między krzakami ukrytym, na lewo ode drogi *znaleźć* możesz niewielką łączkę, której jasność przyjemny tworzy kontrast z cieniem ulicy. Jest tam brzoza, akacja, parę jodeł, parę pni wyrwconych i krzaczek białodrzewu, trawy dosyć i mnóstwo czerwieniejących już listków poziomek. Istna sielanka motyli, między którymi wałęsa się kilku żołnierzy pieszej baterii palących obrzydliwy tytuń.

Za starą szopą, powoli opadajek. cą z dachówki, stoi brama na główny dziedziniec wiodąca, a na szczycie jej słupów dwie pary wesołych dzieci z poobijanymi nosami. Droga wprost bramy na lewo wiedzie między klombami do gotyckiego domku tonącego pośród ciemnej zieleni. Już w tej stronie nie zobaczymy nic wybitnego; poznaliśmy cały prawie ogród górny.

Wiemy, że Sybilla i pałac Instytutu stoją na wzgórzu, które nagle spada ku łąsce. Otóż najciekawsza część spadku mieści się na przestrzeni między obu tymi gmachami zawartej.

Od frontu pałacu, z tej właśnie górki, skąd widać część łąchy i placyk niegdyś Tankreda, idziemy nie tą dróżką, co do głównej alei prowadzi, ale wprost, a potem pierwszą drogą na prawo. Ścieżyna ta pochyła się łagodnie i ginie w obłoku liści. Przebiegłszy kilkanaście kroków skręca się nagle i znowu pochyło na takiej samej przestrzeni biegnie do nowego zakrętu i nowej ścieżki spadzistej. Są to tak zwane Drogi Pochyłe, które dziś przechrzczył ktoś na Schody Achillesa. Dróżki te dosięgają poziomu ogrodu dolnego i tworzą gzygzak formy, złożony z siedmiu czy ośmiu kawałków.

Ponieważ podobny system ścieżek łatwo by się obsypał i zniszczył, utrwalono je więc ongi za pomocą podmurowania. Kiedyś musiało to być miejsce otwarte, dziś pną się tam kilku i kilkunastoletnie drzewka, nie licząc krzaków. Stare cegły okrywa pleśń, miejsce spajającego wapna zajął mech, trawa i inne zielska o więcej lub mniej demokratycznych nazwach. Ziemi nasyp ryją krety, na ile im sił starczy, po kamykach suną pełne filozoficznego ducha ślimaki.

W cichy, pogodny dzień ustronie to należy do najpiękniejszych. Jesteś tu jakby pogrążony w chmurze, składającej się zamiast z pęcherzyków pary, z liści rozmaitej formy. Nie spłoszone ptaki kwilą, gwizdzą, zapytują lub kłócą się w językach przypominających szczebioty niemowląt. Wtórjuje im nieustanny brzęk różnej, wielkości muszek jęczących niby metalowe struny arfy — plusk kaczk w wodzie i tysiące innych szelestów, których przyczyny ani miejsca nie podobna oznaczyć. To natura rozmawia. Liść donosi liściowi, że potrąci! go jakiś skrzydlaty furfant — szumią konary w braterskich uściskach wiatru i z rozpaczliwym, choć ledwie dosłyszonym trzaskiem boleje nad sobą martwa, opadła gałązka przed pochyloną i żółkniejącą trawką. A tam znowu bezimienne ziele jakieś cichym drzeniem donosi o swoim na świat przyjściu i chwieją się podobne do kaczej stopy liście klonu niby klawisze niewidzialną dotykane ręką. Tylko samotny, nadąsany grzyb milczy, troskliwie zasłaniając żółtym kapeluszem domowe sprawy.

Z każdego kamyka, grudki ziemi, liścia, owadu i ptaka wy- lewają się kaskadą promienie nieśmiertelnego, wiecznie jędrnego ducha świata. Pewny jesteś, że czy opuści źdźbło trawy, czy huśtającego się na niej komara, czy twe własne przepelnione nim serce, czy całą w końcu planetę, żyć

będzie zawsze ten sam, choć w innych formach i okolicach przestrzeni!

Świat jest gmachem, którego styl, plan i cel istnienia odgadnąć się da tylko przez ogarnięcie całości. I któż nam winien, że nie dostrzegamy ogółu zagrzebani w rumowisku pojedynczych cegieł?

Od dolnego kresu Pochyłych Dróg w stronę Sybilli wiodą dwie ścieżki: jedna nad samą łachą, druga na spadku wzgórza. Przy tej ostatniej, wznoszącej się, leżą grotty.

Pełni gustu twórcy puławskiego ogrodu dość wcześnie spostrzegli się, że okolicy tutejszej brakuje skał i piękności związanych z nimi. Aby choć w części zaradzić niedostatkowi, zgromadzili około Sybilli kilka olbrzymich głazów, a w stromym spadku wybudowali grotty z opoki. Grotty owe, jeszcze przed kilkunastoma laty bezpiecznie zwiedzane, posiadały parę wejść. Droga w nich zginała się, podnosiła, opadała i rozwidlała na kilka gałązek, jedno czy dwa okrągłe okienka w połowie rozwalone i zielskiem zarosłe przepuszczały trochę wątpliwego światła. Najniższym punktem grot była kaplica wielkości sporego salonu, na piętro głęboka. Jedyłą jej ozdobę stanowiły ławy kamienne konstrukcją przypominające czasy Pelazgów. W podziemiach tych odbywały się za księstwa Czartoryskich świetne przyjęcia i zabawy.

Dziś skutkiem wieloletniego wpływu wilgoci opoka zmiękła i poczyną się kruszyć; wielkie kamienie i całe stopy ich odpadają z sufitu i ścian na klepisko kurytarzy. Wejścia przed dziesięcioma laty zasypano, a potem znowu odgrzebano, skutkiem czego grotty zrobiły się podobnymi nieco do kryjówek zbójceckich lub do rozwalonej kopalni kamienia wapiennego. Wiedząc, jak pieczary te wyglądały przed 20 laty, uważam, że spacer po nich dziś są trochę niebezpieczne. Zapewne, kogo ciekawość pali, może tam wejść, byle nie robił zbyt wielkiego hałasu i zostawił jakiego przyjaciela zewnątrz na straży. Trafwszy bowiem na złą godzinę, może być zabitym, a co gorsza żywcem zamurowanym.

Gawędy o wielkich rozgałęzieniach tych piwnic, o połączeniu ich z Kazimierzem nie mają żadnej podstawy.

Spadek wzgórza, w którym pomieszczone są grotty, tworzy miejscowość romantyczną i dziką, naturalnie w miniaturze. Droga biegnie pod ścianą prawie pionową ziemi sypkiej, nad przepaścią także pionową i sypką. Szkoda tylko, że i ściana, i przepaść mają zaledwie po kilkanaście stóp wysokości i pozwalają wchodzić, schodzić ze siebie równymi nogami, największe zaś niebezpieczeństwo ich polega na tym, że można surdut powalać. Z końca drogi tej jest ładny widok na Sybillę, która spoza klombów ukazuje się nagle w całej wysokości. Niemniej ciekawą jest droga dolna. Ciągnie się ona pomiędzy ogromnymi drzewami, mając na prawo łachę, na lewo grotty. Gdzie ze wzgórza osypała się ziemia, widać nagie korzenie powyginane jak węże idące szukać żeru. Jeden z nich spotkawszy na drodze kamień, ścisnął go odnogami jak jeździec cwałującego konia. W innym miejscu runęło olbrzymie drzewo, na którego pniu, przynajmniej ze cztery łokcie grubym, rosną bujne zioła, a nawet parę młodziutkich akacji.

W tym miejscu, gdzie się kończą grotty, stoją jeszcze ceglane zwaliska małego domku pustelnika. Za czasów książąt mieszkał tu podobno jakiś odludek, etatowy pustelnik, którego bogobojność polegała na karmieniu i pilnowaniu łabędzi pływających po łasze.

Od tego punktu na przestrzeni kilkudziesięciu kroków ciągnie się mur podpierający wzgórze. Na nim przed dziesięcioma laty znajdowały się wyglądające spośród drzew tablice, pamiątkowe na cześć Karpińskiego, Książnina, Woronicza i innych znakomitości tej epoki. O Piramowiczu powiedziano tam:

 Nie straszyl gniewnym Panem, mowil o łaskawym,
 Kreślił Boga, którego nosil w sercu prawym.

Nie jestem pewny, czy dziś tablicami owymi nie wybrukowano jakiej obory lub stajni.

Tu już jest las, zbiegowisko drzew najrozmaitszych, starych i wielkich, między którymi odznaczają się ogromem sokory. Pień każdej prawie z nich ma kilkanaście kroków obwodu, wierzchołek sięga nieledwie obłoków, z mchem porosłej kory wyskakuje mnóstwo jednorocznych gałązek. Drogi schodzą się i rozchodzą, biegną wyżej i niżej, a wszystkie wśród gąszczów zaniedbane i opuszczone. Nad głową widzisz stykające się ze sobą, jeżeli nie poplątane, konary drzew, między grube pnie ich tłoczą się krzaki gdzieniegdzie zeszyte w jedną oponę giętkimi łodygami roślin pnących się i zasypane ich liśćmi. Cała ta procesja olbrzymów i wyrostków ssie ziemię tak dokładnie, że już obok nich trawka wykarmić się nie może. Promienie słoneczne przeciskają się z trudnością, w powietrzu wisi chłód surowy, ptaki gadają wszelkimi językami, jakby drwiły z jastrzębia, który szybując nad tą głębią zieleni płacze, że mu się do niej dostać trudno.

Niekiedy milknie wszystko, a wówczas z odległości dolatuje cię jakieś w, zpieszne, pracowite pukanie. To długodzioby, ze szczeciniastymi wąsikami dzięcioł przy pomocy silnych łap i twardego ogona biega jak mucha po ścianie — po pniach i konarach drzew, wystraszając z ich szczelin tłuste robaki. Gospodarny ów ptak, jedyny konserwator tej części ogrodu, o nikogo nie dba, nikogo się nie boi i przy chwalebny zamięłowaniu do swego rzemiosła ma minę dorobkiewicza i aroganta.

Gdy go spłoszysz, odlatuje na najbliższy krzak i najeżony, zaaferowany, całkiem serio krótkimi piskami zdaje się pytać: coś ty za jeden, który śmiesz mi przerywać jedzenie? Dla uspokojenia go pukasz palcem w drzewo. Dzięcioł słucha, głową kręci i wnet przylatuje na dawne miejsce. Potem zabiera się znowu do roboty i wykonywa ją z tak oburzającą efronterią, że miałbyś chęć zwalić go kijem po grzbiecie. Ptaszego wdzięku, ciekawości — nie ma w nim ani za grosz; jest to brutal, który nie zadaje sobie nawet pracy, aby ci powiedzieć: daj mi spokój, bom się jeszcze nie najadł, choć od rana nic innego nie robię!

Nieraz stojąc tu między grenadierami świata roślinnego zapytywałem: czy drzewo ma duszę podobną do zwierzęcej, czy też zupełnie inną? I otóż sądzę, że co do treści swej, składu chemicznego, jeżeli tak mówić wolno, obie one są jednakowe, różnią się zaś siłą i dążnością.

Tej na przykład ogromnej sokory dusza ze względu na wymiar i siły swoje mogłaby wybornie ożywiać zwierzę wielkości psa, a już wróbel, który by ją posiadał, byłby genialnym. Tymczasem duchowi onemu zachciało się gwałtem zdobyć formy kolosalne i otóż wszystkie uzdolnienia swoje i wrażliwość, rozsądek, pamięć, wolę i uczucia skierował do *tego* wyłącznie celu, aby wylepić olbrzymią powłokę doczesną. W tej pracy zagalopował on się tak, że o wszystkim innym zapomniał. Nie dba o stosunki ze światem zewnętrznym ani lubuje się procesami psychicznymi. Powietrzem troszczy się o tyle, o ile mu ono dostarcza kwasu węglanego, promienie słoneczne zrobił mularzami swego gmachu, ziemię, do której przypił się jak pijawka, bez miłosierdzia nurtuje gałęzistymi korzeniami. Toteż nie można dziwić się, że w roślinach prócz niepohamowanej dążności do rozrostu nie ma ani czucia, ani myśli, ani ruchów samodzielnych przynajmniej w tym stopniu, który by pozwolił nam je ocenić. Podobne zjawisko zanikania wszelkich uzdolnień wobec popędu do tuszy widzimy w zwierzętach karmionych na opas, ludziach, którzy zakochali się w nabytkach materialnych i społeczeństwach, które poza granicami fizycznej wielkości nie pragną niczego więcej.

Rozpatrując się w tej części ogrodu nie podobna uniknąć pytania: co będzie z nią za lat kilkadziesiąt? Co będzie, gdy ścieżki krzakami zarosną, młode drzewa postarzeją się, zgrzybiałe straciwszy korę obumrą i poczną świecić jasnopopielatym szkieletem, dopóki ich wiatr albo siekiera nie obali? Praca ludzka mogłaby istnienie ogrodu tego przedłużyć do nieskończoności, ale pracę tworzy kapitał, a kapitału Instytut dzisiejszy nie posiada nawet na rzeczy niezbędne. Gdyby w łonie

akademii rolniczej powstał jakiś komitet czuwający nad zachowaniem i upiększeniem ogrodu, może znalazłyby się i fundusze ze składek gości zwiedzających Puławę. Ale czy Instytut zdobędzie się kiedy na krok tak heroiczny? ...

Jest rzeczą prawie niezawodną, że Puławy i śliczne ich okolice ściągać będą podróżnych i przysparzać dochodu miejscowej ludności. W interesie jej zatem leży uchronienie ogrodu od upadku, który już dziś przewidzieć można. Ale kto się tym zajmie i w jaki sposób? ... odgadnąć trudno. Będzie to jednak zabawne wydarzenie, gdy piękna ta oaza roślinności, nad założeniem której wiek pracowano, zmarnieje pod okiem paruset agronomów i leśników mających podnieść, odnowić i upiększyć terytorium całego kraju. Wypadłoby stąd, że kilku magnatów więcej zrobiło dla Puław aniżeli kopy uczonych.

p>Wszystkie dróżki, biegnące od strony Sybilli, chińskiej altany i alei pogiętej, schodzą się na moście kamiennym rzuconym przez płytki i dość brudno wyglądający wąż. O kilkanaście kroków za nim widać już mur obwodowy, a przy drodze wiodącej do łachy — wyschły i walący się wodozbiór czy wodotrysk w formie kwadratowej kolumny, obok której stoi piaskowcowa wanna.

Przez wykutą w murze furtkę wychodzi się na obszerny dziedziniec pałacyku marynkowskiego. Niewielki on jest, ale bardzo ładny, szczególnie od strony łachy. Kiedyś wewnątrz jego zdobiły stiukowe ściany, mahoniowe wysokie drzwi, kominki z kararyjskiego marmuru, nie licząc ruchomych szczegółów. Później jednak został straszliwie zaniedbany i począł chylić się do zupełnej ruiny. W bocznych pokojach mieszkali stróże i ich dobytek, sala główna była podobną do obory; szczęściem Instytut zajął pałacyk na mieszkania dla ubogich studentów i tym sposobem uchronił go od zagłady.

Ustronie to i dziś jest malownicze. Ma z prawej strony ogród, z lewej budynki folwarczne i grupę kilkudziesięciu sosen, z frontu dziedziniec, a z tyłu łachę i piękny gaj na kępie. Jedna tylko rzecz szpeci uroczy ten obraz, a mianowicie energiczna woń panująca w kącie przyległym ogrodowi, dzięki której sielanka przemienia się w kordegardę.

Nad pałacem marynkowskim stał niegdyś napis: „Iste terrarum mihi praeter omnes angulum videt”. Zmazano go prawdopodobnie z uwagi, iż tak mocno pachnący i odrapany zakątek nie może podobać się bardziej niż wszelkie inne. Logika faktów jest tak potężną, że ulega jej nawet nierozum ludzki!

Wesołe towarzystwo warszawskie w pogoni za zabawą docierało aż do tej miejscowości. Tu ciekawsza połowa rodu ludzkiego oglądała salony zapełnione skromnymi mebelkami studentów, rozważni pili wodę, jakiej w Puławach nie dostać! dzieci rwały się do czółna. Pływackie ich popędy zaraziły ogół: wszyscy chcieli pływać i około dwudziestu osób wpakowało się od razu na czółenko ledwie starczące dla dziesięciu.

Naturalnie przeproszono ich, a entuzjazm gorętszych ostudzono za pomocą uwagi, że łacha jest dość głęboka. Towarzystwo podzieliło się na dwie partie: jedni usiedli w czółnie, drudzy na brzegu, ochocza młodzież pochwyciła za wiosła.

Dno łachy pokryte jest lasem roślin najrozmaitszych form i wielkości. Lilie wodne wypływają na powierzchnię, inne ledwie dosięgają zwierciadła wody, jeszcze inne kryją się w głębi. Wpatrzywszy się, osobliwie przy dniu pogodnym, widzisz mnóstwo istot zielonawooliwkowego koloru, tworzących jakieś różańce z kosmatymi paciorkami, to znowu coś na kształt trawy, pokrzyw, kaktusów. Widzisz wysokie rośliny pojedyncze, wybijające się jak sosna nad krzakami leszczyny, to znowu klomby ich gęste i pomotane, to znowu całe trawniki i łąki. Między tym wszystkim mkną stada rybek mniejszych i większych, ilością przypominających roje pszczoł (lut) komarów. Tu i ówdzie nad

gładką powierzchnią wody wyskakuje jakiś przedmiot o srebrnym połysku: jest to płotka usiłująca schwycić w lot owada.

Przechodząc wzdłuż brzegu płoszysz stada żab, które skaczą na wielkie mety piersiami, bokiem lub zgołą na wznak, a zawsze z zafrasowanymi minami. Niekiedy między trawą przesuwa się w licznych skrętach upstrzony złotymi plamami wąż wodny, którego błyskawiczne ruchy i czarny widełkowaty język przyprawia damy o spazmy. Ślimaków także nie brak, pływają zawieszane w wodzie w swych zwiniętych i opatrzonych klapą skorupach.

Ponad tą szóstą częścią świata rojącą się wszelakiego rodzaju życiem unosi się łódź pełna ludzi wesołych. Damy śmieją się lub śpiewają, dzieci usiłują gwałtem zbadać dno łachy, z wioślarzy ciekną strumienie potu, a młody sternik bawi się w robienie grzeczności paniom. Ach! gdybyście widzieli, jak czółno zamiast iść wprost idzie w lewo, a zamiast na lewo — na prawo, jak zamiast płynąć, kręci się w kółko na podobieństwo skrzydeł wiatraka ... Gdybyście pomyśleli, że lada figiel pogrzyży miłe to zgromadzenie w wodzie na sążeń głębokiej, gdzie na oplatanie rąk i nóg czeka tysiące roślin... A chór złożony z jednego głosu żeńskiego i kilku przeraźliwie nijakich śpiewa tymczasem:

....Gdyby jaskółeczką lecieć mi po niebie,
Gdyby rybką w rzece płynąć mi do ciebie...

— Stasiu! nie wychylaj się!... Łódka zaczyna drygać.

— Panie Władysławie, skręcaj pan na prawo!... Łódka zaczyna się obracać w kółko.

— Stasiu! co robisz!... Panie. Władysławie, po jakiemu pan sterujesz!...

— Ja paniom szale podaję! — odpowiada pełen elegancji sternik uwijając się w czółnie jak wilk w zamkniętej owczarni.

Młody ten człowiek przy damach poważnych steruje po anielsku, lecz dostawszy się między panny, osobiwie ładne, traci równowagę duchową i jest po prostu niebezpieczny. Przeklinasz zatem czółno i łachę, dobijasz do brzegu i obiecujesz sobie nie wozić nigdy dam ani dzieci, ani ludzi nie umiejących pływać — przy pomocy sterników, na których zbyt silnie wpływają panięńskie wdzięki.

Świecił tam jeszcze księżyc podówczas; kwakały, kukały, skrzeczały i rzechotały żaby, ale pies by ich słuchał! Czy podobna zachwycać się pięknosciami natury, myśląc o tym, kogo pierwiej należy wyciągać, jeżeli się czółno wywróci?

Tak w najogólniejszych zarysach wygląda ogród puławski.

Przygotowano na podstawie bookini.pl